Nr. 50. Warszawa, dnia 12 Grudnia (30 Listopada) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Prawda wychodzić będzie nadal w tej samej objętości, tj. w półtora-arkuszowych numerach co tydzień, z kwartalnym dodatkiem książkowym. Po ukończeniu w nim Rozwoju moralności *rozpoczniemy druk cennego dzieła naukowego Tomasza H. Huxleya p. t.*

ZASADY FIZYOLOGII

w nowem, rozszerzonem wydaniu prof. J. Rosenthala, z ilustracyami. W dodatku do Prawdy *pragniemy jej abonentom dawać dzieła gruntowne, a jednocześnie dla wszystkich dostępne i mogące służyć do samouctwa w rozmaitych dziedzinach wiedzy. Obu tym warunkom odpowiada praca Huxleya, równie znakomitego popularyzatora, jak badacza, niewymagająca uprzednich studyów i będąca wybornym podręcznikiem zarówno dla zwykłych czytelników, jak i dla studyujących tę umiejętność. Wydanie tej książki dogadza nawet szerszej potrzebie, gdyż po wyczerpaniu* Listów Vogta *nie ma w piśmiennictwie naszem fizyologii, z którejby ogół mógł korzystać.*

Dla uniknięcia przerw i opóźnień w wysyłce pisma, prosimy o wczesne wnoszenie przedpłaty.

Uwaga. Przy przesyłaniu mniejszych należności markami pocztowemi prosimy o nienaklejanie ich w listach.

Nabywcy pierwszego zeszytu Encyklopedyi dla dzieci *skarżą się może, iż dotychczas nie otrzymali jej dokończenia. Prosimy o uwierzenie naszemu zapewnieniu, iż druk tej książki spieszniej dokonany być nie mógł. Ponieważ rok chociaż dobiega do kresu, potrwa on jeszcze kilka tygodni, więc rozsyłamy obecnie zeszyt II, trzeci zaś i ostatni wyjdzie w przyszłym miesiącu. Przy nim też znajdą się dopełnienia. (Całość kosztuje rs. 1 k. 80, z przesyłką pocztową rs. 2).*

POLITYKA.

WOJNA WATYKAŃSKA.

Leon XIII, albo też partya „nieprzejednanych,“ rządząca w Watykanie, pouczona wieloma doświadczeniami, pragnie koniecznie wywołać prześladowania Kościoła w nadziei, że z nich wyciągnie doniosłe dla siebie korzyści. Wiadomo, że przed wypowiedzeniem wojny katolicyzmowi w Niemczech nie miał on tam poważnego stronnictwa parlamentarnego, że dopiero podczas tej walki powstało potężne „centrum,“ które ostatecznie zaprowadziło przeciwnika do Kanossy i dotąd odgrywa ważną rolę, chociaż z wymierzonych przeciw jego współwyznawcom ustaw majowych pozostały zaledwie drobne szczątki. Chcąc zebrać podobny plon i zdobyć sobie równie dobre stanowisko, Watykan usiłował w rozmaitych krajach wytworzyć „kulturkampf.“ Chwytał najsłabsze pozory krzywd, wyzyskiwał najlżejsze sposobności, poprostu — że tak powiemy — nadstawiał się do męczeństwa, ale rządy, pamiętając o błędach i porażce pruskiego, unikały starć ostrych. Przedewszystkiem zaś strzegł się zatargu włoski. Mając w łonie swego kraju taką wiecznie otwartą ranę, jak kwestya papieska, musiał ją zabliźniać starannem zapobieganiem wszelkim rozdrażnieniom i nie narażać się na skargi o jakąkolwiek nietolerancyę lub dążności prześladowcze. Watykan jednak, czepiając się najbłahszych wypadków, nie umilkał w narzekaniach, rozsyłał noty, bulle, listy pasterskie, w których obwiniał rząd włoski o gwałty, a siebie przedstawiał jako męczennika. Mimo to nie udało mu się rozdmuchać tam walki religijnej.

Nie uda mu się i teraz, chociaż dotknięto go mocniej, niż kiedykolwiek. A zawdzięcza to swemu przyjacielowi, austryackiemu ministrowi spraw zagranicznych, który odpowiadając na interpelacyę jednego z posłów tyrolskich, miał rzec, iż kwestya rzymska, a jak teraz twierdzi — kwestya papieska pozostaje dotąd nierozstrzygniętą. Naturalnie włosi, którzy otrzymali naprzód wiadomość o jego słowach w pierwszem wyrażeniu, wybuchnęli zgrozą i pomimo następnych zaprzeczeń domagali się od Rudiniego wyjaśnień. Otóż prezes gabinetu włoskiego oświadczył, że kwestya rzymska dawno już została załatwiona, zeszła zupełnie z porządku dziennego polityki europejskiej i żadne państwo jej nie wskrzesi. Papież może sobie puszczać w świat tyle protestów, ile mu się podoba, ani Rzymu, ani władzy świeckiej we Włoszech nie odzyska. Obecny tym zapewnieniom Crispi, nadał im jeszcze silniejszy akcent. Gdyby — rzekł on — w Watykanie przebywał apostoł religijny, dalibyśmy mu wszelką swobodę, ale tam siedzi pretendent polityczny, który spiskuje przeciw jedności narodu. Ex-minister zaręczał dalej, że gdyby był pozostał dłużej na swym urzędzie, byłby zakończył ostateczne rachunki z papiestwem, co przyjęto głośnym śmiechem, jako czczą przechwałkę. Nie ulega wątpliwości, że z powodu tych rozpraw Watykan ciśnie znowu piorun papierowy, który tu i owdzie zostanie grzecznie pokwitowany, ale żadnej głowy nie roztrzaska.

Niezmordowany w tej taktyce stosował ją wszędzie, a obecnie probuje we Francyi. Znane jest czytelnikom zajście między ministrem oświaty a biskupem z Aix: pierwszy wydał okólnik, ograniczający duchowieństwo w agitacyach politycznych, drugi odpowiedział mu listem pełnym zniewag. Pozwany za nie do sądu, skazany został na

3,000 fr. grzywny. Ta łagodna kara posłużyła mu jako oręż i hasło do walki z rządem, który „prześladuje Kościół,“ bo nie pozwala, ażeby prałat publicznie wymyślał ministrowi. Nie potrzeba wcale głęboko zaglądać w pobudki ludzkie, ażeby dostrzedz kulawiznę tego sofizmatu. Sprawa nieprzyzwoitego zachowania się biskupa nie jest sprawą religijną, gdyż nawet śród licznych swoich przywilejów nie posiada żaden dostojnik tego gatunku traktowania ministrów jak zakrystyanów. Od najbardziej zaś liberalnego rządu trudno wymagać, ażeby on pozwolił znieważać swoich przedstawicieli. Ale kler, natchniony polityką Watykanu, nie uznaje tej prostej logiki, to koniecznie pragnie wojny. Rząd francuski jednak posiada przeciw niemu w swym arsenale broń bardzo pokonywającą — groźbę odłączenia Kościoła od państwa i odjęcia pierwszemu pensyj płaconych przez drugie. Więc zapowiedział albo: „ecclesia militans“ z własnej lub nakazanej przez Watykan woli uspokoi się, albo straci otrzymane corocznie miliony. Co prawda, groźba ta nie brzmi dość rozumnie, gdyż albo ów rozdział jest konieczny i słuszny, a w takim razie należy go przeprowadzić bez względu na to, jak się zachowuje biskup z Aix, albo też niepotrzebny i niesłuszny, a wtedy nie powinien być przeprowadzony również bez względu na postępowanie kleru. Tak wielkich reform niepodobna przecie dokonywać na złość jednostkom. Być może jednak, że rząd francuski używa tego środka jako odciągającego nadmierne humory z nadzieją, że on okaże się skuteczny.

Jest to rzeczywiście zagadką, czy Watykan poważnie spodziewa się pożądanych rezultatów ze swej polityki wojowniczej, a zwłaszcza przywrócenia papieżowi władzy świeckiej? Jego sztab główny składa się niewątpliwie z ludzi rozumnych, chociaż sfanatyzowanych; otóż ciekawa rzecz, gdzie ci ludzie w obecnych stosunkach Europy widzą jakąkolwiek możliwość urzeczywistnienia się tej ich idei, najdrobniejszą zachętę do wytrwania w walce? Ani tej możliwości, ani tej zachęty oprócz nich nikt inny nie dostrzega. Byłożby to więc z ich strony dziecinne złudzenie, czy też głęboko ukryta rachuba? Zdaje się, że prędzej mieszkańcy ziemi zdobędą księżyc, niż papież posiądzie Rzym, a jednak dyplomaci Watykanu tak mówią o odzyskaniu tej straty, jak gdyby to było tylko kwestyą niedługiego czasu. A może rozwiewające się marzenie ogarnia ich niepohamowanym gniewem? Bądź co bądź, Watykan atakuje przeciwników na kilku jednocześnie punktach i rzuca naokoło wyzywająco rękawice.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Do trzech jednocześnie parlamentów wniesiono traktaty handlowe, zawarte między Niemcami, Włochami i Austryą. Są to dzieła długich starań, dawnych marzeń i tajemnych układów, prowadzonych energicznie od roku, a zadzierganych jeszcze za Bismarka. Czytelnicy łatwo zrozumią, że troisty związek handlowo-celny, odpowiadający potrójnemu przymierzu, jest faktem olbrzymiej donioslości, nietylko bowiem spaja mocniej uczestniczące w nim państwa, ale daje ich życiu ekonomicznemu pewne oznaczone ramy, w których ono poruszać się ma na przyszłość. Zresztą, jakkolwiek każde z mocarstw ma prawo wchodzić w układy z innemi państwami, nienależącemi do obecnej spółki, dla celów politycznych ze swobody tej nie skorzystają, a tym sposobem staną do walki ekonomicznej. Właściwie zatem w dniu, kiedy niemiecko-austryacko-włoskie traktaty handlowe, a zwłaszcza dwa pierwsze zostaną zatwierdzone ostatecznie, będzie wypowiedziana wojna celna przez mocarstwa środkowo-europejskie. Wtedy również zastanowimy się nad nimi szczegółowiej, dziś dotkniemy tylko kwestyi ich przejścia przez ognie parlamentarne. Jest to objawem charakterystycznym, że prasa austryacka narzeka na pokrzywdzenie w tych umowach Austryi, niemiecka zaś na szkody Niemiec. Naiwni ci krytycy nie mogą pojąć konieczności wzajemnych ustępstw, bez których takie kontrakty byłyby niemożliwe. Największe znaczenie w tej sprawie posiadać będzie zgoda sejmu niemieckiego, gdyż bez niej całe przedsięwzięcie byłoby udaremnione, a przyzwolenie austryackiej Rady państwa prawie nie ulega wątpliwości. I w Berlinie traktaty nie będą odrzucone, ale chodzi o to, czy nie zostaną zbyt pokiereszowane. Bismark ciągle grozi, że przybędzie na tę operacyę, w której pomagać mu będą konserwatyści. Naturalnie, jak zawsze, tak i tym razem nie chodzi mu o dobro narodu, ale o swoje własne. Najbogatszy obywatel ziemski w Niemczech, posiadający dużo do sprzedania zboża, nie może sympatyzować z traktatem handlowym, zniżającym cło od płodów rolnych, przychodzących z Austryi. On wolałby raczej, ażeby żyto i pszenicę tylko u niego kupowano po możliwie najwyższych cenach.

W Paryżu zmarł ostatni cesarz brazylijski, Dom Pedro, zdetronizowany i wygnany z kraju, który go jednak nie przestał szanować i który nawzajem nie stracił jego miłości. Chociaż bowiem nieboszczyk nie uznawał gwałtu, jaki na nim spełniono, zachował szczerą życzliwość dla narodu. Była to natura dość bogata w pierwiastki szlachetne i nieobce postępowi cywilizacyi. Trochę marzyciel, przeważnie humanista i człowiek dobry, pozostawił po sobie zaszczytne wspomnienia.

Z kraju olbrzymiego, a przytem pozbawionego środków szybkiej komunikacyi, wszelkie doniesienia muszą być bardzo spóźnione i mętne. To też trudno orzec, ile sfanatyzowany tłum chiński wymordował chrześcian i zburzył domów i o ile wojskom rządowym udało się stłumić rozruchy. Depesze z Pekinu głoszą, że powstańcy zostali wszędzie pobici, że ich siły wojskowe są maleńkie i że wkrótce będą zgniecione. Wszystko to byłoby dość prawdopodobne, ale nie w państwie kilkusetmilionowem, z bezmierną przestrzenią, z organizacyą nadającą jego częściom zupełną niezależność, z nastrojem sprzyjającym każdemu wybuchowi nienawiści rasowo-religijnych. Sądzimy też, że Europa długo jeszcze będzie miała do czynienia z Chinami.

Świeżo wypuszczony z więzienia, jako wybrany deputowanym, Paweł Lafargue, postawił we francuskiej Izbie deputowanych wniosek udzielenia amnestyi przestępcom polityczno-społecznym, który został odrzucony.

Komitet berliński, zbierający składki na głodnych w Rosyi, przesłał nad Wołgę 21,553 marki.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ŚRODKI UREGULOWANIA
STOSUNKÓW WIEJSKICH.

Sławny ruch emigracyjny powoli zaczyna otwierać oczy tym, którzy najbliższą mają styczność z jego ofiarami. Jeszcze przed rokiem słyszeliśmy tylko wyłącznie skargi na ciężkie ekonomiczne położenie szlachty,

FRAGMENTY.

II.

Lipa.

Miałem ja stróżkę ongi, co domostwa pilnowała wiernie. Przed oknami ona stała cicha a niewzruszona zawsze, niedbała na deszczowe fale, śnieżne zamiecie i gniewy wichury. Gdy przywdziała strój odświętny, wtedy była ogromna i cień jej starczył za chłodne pokrycie dla małego domku, każdy zaś starą jej urodę chwalił, mówiąc: rzadko tak pięknej lipy znaleźć. Kiedy byłem mały, ona dla mnie wielkim była światem — ludnym, szczebiotliwym, kwitnącym i wonnym na lato, posępnym w zimie. W młodzieńczych latach moich lipa ta stara nieraz mi z oczu płoszyła sen ranny, trącając lekko gałązką o szybę; to było jej wołanie, abym z izby dusznej szedł na świat popatrzyć. I widziałem wtedy, że mi z dumą pokazuje swój szczyt w złocie gorejący, a niby mówi: ja się zawsze niebiosom przyglądam — gwiazdom — słońcu, więc i ty nie śpij. I zazdrościłem lipie owego jej ogromu i złotych odblasków słońca i tego, że rychlej odemnie jutrzenkę ogląda.

Razu jednego o wczesnej godzinie cisnęła ona garścią suchych liści w szybę. Szmer to był lekki, lecz sen nad głową znękaną tylko końcem skrzydła ciążył, więc posłyszałem jej stukanie i ujrzałem, jak za oknem stała w białym zawoju mgły, niby w czepcu, z pod którego pasma wyblakłego listowia spływały. Mowa jej była smutna. Oto jesień. Wiatr rabuje liście, niebawem śnieg je pogrzebie, a ciebie straszyć będą moje nagie, czarne piszczele. Nie rychło wrócą piękne jutrzenki. A i lipa już usycha od szczytu — myślałem, spoglądając na jej konary. Rozstaliśmy się dnia tego na zawsze.

Komuż ona teraz zwiastuje wiosny i jesienie? Nieraz, gdy w noc bezsenną czekam rozświtu z upragnieniem, oczy moje szukają w mroku za oknem ciemnej drzewa sylwetki. Nie ma jej tam, więc samotność wydaje mi się większą.

Siostry.

Taką mi bajkę opowiedział poeta:

Stałem — mówił on — na bezludnem wybrzeżu. Zima to była i noc już zaszła. Przede mną rozciągał się gładki obszar wód zamarzłych, ubielony śniegiem, a teraz szarością mroku powleczony, za nim wisiały grube i gęste opony zupełnej nocy. Wiatr mroźny i suchy wydawał się podmuchem złości i szyderstwa. Czaił się on, przylegał do ziemi i z wirem zimnego pyłu przebiegał z miejsca na miejsce. Chwilami nie czułem go wcale, bo słyszałem, jak huczy dokoła ze wszystkich stron. Z największą wściekłością przelatywał nad lodową równiną i wtedy zdarzało mi się, że olbrzymie kłęby ciemności wstrząśnione chwieją się i kołyszą jak lekkie kotary w podmuchach słabego wiatru. A za nim leciało zawsze mnóstwo jękliwych głosów i świstów szydzących, które gdzieś, w dali, mieszały się w gwar niezrozumiały i głuchy.

Wielki smutek zapadł w moją duszę. Czułem dokoła siebie ogrom bólu i cierpie-

wobec czego wszelkie kłopoty innych warstw ludności były niczem — dziś coraz częściej możemy notować fakty zaglądania przez pracodawców do izb czeladnych, do misy i kieszeni ich mieszkańców, już nie w celu sprawdzenia, czy się tam nie zabłąkało „dobro pańskie.“ Rozsądniejsi rolnicy przyszli do poznania odwiecznej prawdy, że oś niesmarowana musi albo skrzypieć, albo się zapalić. Ponieważ na tem nietylko cierpi bryka właściciela, ale i czas stracony na jej naprawę niczem się nie da wynagrodzić, więc interesowani jęli obmyślać rozmaite rodzaje smarowidła. Słowa bezstronnych, które przed tem przechodziły mimo uszu, lub dumne usta wykrzywiały śmiechem pogardliwym, dziś są „brane pod uwagę.“ Jest to objaw pomyślny z tego względu, że rady „luminarzy“ herbowych z większem namaszczeniem będą wysłuchane przez „stan ziemiański,“ niż słowa przedstawicieli innych sfer i zawodów.

Niedawno pisaliśmy w *Prawdzie* o zrodzonym w łonie szlachty projekcie zabezpieczenia bytu oficyalistów wiejskich. Obecnie naraz w dwóch organach ziemiańskich spotykamy uwagi i rady, dotyczące uregulowania stosunków między pracodawcami i służbą folwarczną. Właścicielom ziemskim do licznych kłopotów przybył jeszcze jeden: zmniejszenie się taniej siły roboczej. Gdzie się ona podziała — wykazują następujące cyfry p. Jeziorańskiego: w liczbie wychodźców było: 75% wyrobników, robotników fabrycznych, sług folwarcznych i 25% właścicieli osad włościańskich, między którymi tylko 3% lub 4% było właścicieli większych, reszta należała do włościan małorolnych. Zatem ci, którzy najlepiej są zabezpieczeni, najmniejszą mieli skłonność do wychodźtwa, rzecz prosta, że i do zarobków skłonni nie będą. Wobec tego zrozumiałe jest szukanie przyczyn „choroby społecznej“ przez publicystów-rolników. Najobszerniej bada je p. Ludwik Górski *) w ostatnim numerze *Niwy*. „Włościanie małorolni w znacznej części nie zdali sobie sprawy z warunków położenia swego, nie umieją lub nie chcą uznać, iż drobna własność nie może im zapewnić środków utrzymania, ale że celem jej jest dać możność korzystniejszego zarobkowania, zabezpieczyć od zupełnego upadku w razie choroby lub w ciężkich chwilach braku odpowiedniej pracy. Że to niezrozumienie położenia jest w tej klasie rozpowszechnione, przekonywa o tem niechętne korzystanie z zarobków, bądź po folwarkach, bądź gdzieindziej.“ Jakież jest źródło tej niechęci? Lenistwo, chciwość i brak zamiłowania do pracy. Takie charakterystyczne ogólnie przez pracodawców wyrobione przekonanie jest także myślą przewodnią w uwagach p. Górskiego. Przypisuje on tym cechom najemnika popęd do wychodźtwa i szuka źródła w przeszłości poddańczej: „Pańszczyzna, która przez wieki była podstawą urządzenia stosunków rolniczych, przyzwyczaiła lud wiejski do niedbałej pracy. Włościanin wykonywał wprawdzie wszelkie roboty gospodarskie, ale je wykonywał źle, bo korzyść osobista i zarobek nie były bodźcem jego pracy. Ona byłą dlań powinnością przymusową, z której się wyłamywał, aby sił swoich i trudów ile możności oszczędzać... Pańszczyzna przyczyniła się do zaszczepienia fałszywego o pracy pojęcia. Przymus pracy odbierał jej właściwą cechę moralnego obowiązku.. Praca i wolność były u włościan przeciwnemi sobie pojęciami, tak dalece, że jak przymus ustał, zniknął w ich umyśle moralny obowiązek pracy.“

Obraz ten usposobienia włościan w okresie pańszczyźnianym jest wierny. Niewola wykrzywiła lud moralnie i zabiła w nim energię. Znamienny jest tylko jeden szczegół w charakterystyce p. Górskiego: widzi on i w dzisiejszem pokoleniu ludu wpływ okresu poddaństwa, a pomija inne zasadnicze przyczyny pozornej niechęci do pracy zarobkowej. W ostatnich latach przemysł fabryczny podniósł się znacznie i dał masom ludności robotniczej wyższe niż w gospodarstwach rolnych zarobki. Ale natomiast potrzeby ludu wiejskiego znacznie się zwiększyły. „Włościanie, nawet do klasy wyrobniczej należący, zmienili dawne odzienie na inne, kosztowniejsze, wymagają lepszego mieszkania i lepszego pożywienia; ale ani pracowitość, ani przemyślność nie rozwinęły się w stosunku zwiększonych potrzeb.“ Na potwierdzenie tego autor zwraca uwagę, iż zapotrzebowanie ludności zagranicznej zawsze jest znaczne, ilekroć tylko się rozpoczynają jakie ważniejsze roboty publiczne. Nawet gospodarze rolni do niektórych robót używają robotników zagranicznych. Nadto, przychodzą jeszcze corocznie z Galicyi górale do koszenia i tak zwani bandosy do żniwa; gospodarze folwarczni korzystają z pomocy żołnierzy, wreszcie robotnicy cudzoziemscy w Łodzi, Zgierzu, Żyrardowie i innych ogniskach przemysłowych zapełniają fabryki: „Wszystko to dowodzi, że ogólnie biorąc nie ma jeszcze w kraju przeludnienia roboczego i dla pracy ręcznej braku zarobków; wnioskować raczej można, że ludność z zarobku żyjąca, małorolna, czy bezrolna, nie nauczyła się jeszcze u nas pracować i zarabiać tak jak pracuje i zarabia gdzieindziej.“ Jedną z ważnych przyczyn wychodźtwa, zdaniem p. G., jest chęć polepszenia bytu bez trudu, połączona z nadzieją otrzymania darmo ziemi.

Rzućmy okiem na inne szczegóły obrazu stosunków dzisiejszych, które p. Górski pominął lub przedstawił w odmiennem oświetleniu. Przemysł fabryczny wdarł się do nas z Zachodu i znalazłszy grunt przyjazny, szybko się rozwinął. Kraj o względnie niskiej kulturze nie mógł w stosunku do wzrostu produkcyi i udoskonaleń technicznych, dostarczyć sił fachowych. Musiano więc czerpać pomoc z Zachodu. Tem się tłomaczy przepełnienie fabryk cudzoziemcami, nawet na stanowiskach podrzędnych. Tak samo rzecz się ma z robotami publicznemi, które muszą czerpać siłę roboczą z tamtąd, skąd przyszły udoskonalenia. Galicya pod względem ekonomicznym i kulturalnym stoi niżej od Królestwa. Temu przypisać można napływ do nas górali i bandosów, jak również nasza ludność przed obostrzeniem przepisów niemieckich szukała zarobków za granicą, gdzie jest większy rozwój ekonomiczny. Zresztą znane są wędrówki mas robotniczych w pogoni za lepszym zarobkiem; dość wskazać słynne „obieżysastwo.“ Fakt korzystania rolników z pomocy żołnierzy jest znamiennem zjawiskiem ekonomicznem: wyszukiwanie przez pracodawców tanich mas robotniczych. P. Górski w tym fakcie chce widzieć niechęć ludności wiejskiej do pracy, zapominając o bardzo ważnym względzie: nierównomiernem rozmieszczeniu ludzi poszukujących pracy i braku pośredniczących w niej instytucyi. W tem właśnie tkwi pospolity u nas niedostatek rąk roboczych w danej miejscowości, a gdzieindziej o mil kilkanaście — ich nadmiar. Co rok w jesieni i zimą czytamy w pismach o napływie wyrobników wszędzie, gdzie tylko mają nadzieję znaleźć jaki taki zarobek. Słyszeliśmy o rąbaniu zbiorowem fury drzewa za kilka groszy na głowę. Dziś znowu czytamy o wędrówkach włościan małorolnych i bezrolnych po dworach i miasteczkach w poszukiwaniu zarobku. Gdzież ten wstręt do pracy? Wytwórcy rolni najwięcej pożądają rąk roboczych podczas najgwałtowniejszych robót polnych, t. j. wtedy, gdy włościanie również mają pilne roboty około swego gospodarstwa; łatwo więc pojąć, gdzie jest źródło rozgoryczenia i wyrzekania na lenistwo. Jesień i zima są okresem największych ograniczeń liczby najmitów; w tym czasie zupełnie wystarcza czeladź dworska. Ale i tej położenie nie jest świetne, na co i p. Górski zwraca uwagę, podając następujące rady dla złagodzenia biedy: „Trzeba nie tylko, aby zasługi regularnie były wypłacane, ale żeby zboże, na ordynaryę dawane, było czyste i doborowe, żeby grunt na kar-

---

*) Autor ten już dawniej wiele ciekawych uwag wypowiedział w osobnej pracy i luźnych artykułach.

---

nia, a nie wiedziałem, kto i dlaczego rozpacza. Słyszałem echo skarg strasznych, przekleństw i wołań przytłumionych i mówiłem sobie z żalem, że jestem bardzo mały, bo nie wiem komu, ani jaką nieść pomoc. Więc daremnym wysiłkiem myśli znużony chciałem się oddalić, a wtedy, zdumiony spostrzegłem za sobą i w pobliżu postać niewieścią, skuloną na ziemi. W cieniach zasłony nie mogłem twarzy jej dopatrzeć, lecz zrozumiałem teraz, iż najboleśniejsze szepty, jakie słyszałem, właśnie z jej ust wychodziły. Zbliżywszy się, pytam nieśmiało, kogo opłakuje ona w żalu tak ogromnym.

— Siostry — odrzekła, a nigdy głos człowieka równie beznadziejnym nie brzmiał smutkiem.

I potem zaczęła szybko mówić, jak ten, kto długo czekał, aby zwierzyć się innemu, a zrazu jej słowa wydały mi się niezrozumiałe.

— Siostra — mówi — umarła z pierwszym podmuchem dalekiej północy, tym właśnie, który mnie, obrzydłej życie przywrócił. Morze łez wylałam przy jej zwłokach, ale wszystkie marzły i lodową powłoką oblekły jej piękne ciało. I westchnienia moje w zimnych kryształach opadały na jej czoło, strojąc jej jak do grobu białym, iskrzącym wieńcem. A byłam ja wpierw świadkiem jej narodzin, lecz krótką tylko chwilę, gdyż musiałam sama umrzeć, aby wątłego ognika jej życia nie zgasić. Ona jest piękna cudownie, a gdy kto moją poznawszy brzydotę, spojrzy na nią, tego niezrównany czar jej lica odurzy.

— A czy twoja siostra także płacze, gdy ciebie martwą zobaczy? — przerwałem jej.

— Ona mnie nie zna — szepnęła cicho. Nie widzi mnie ani wtedy, gdy na świat oczy otwiera, ani gdy w nich blask już gaśnie. Ja bym się bała uśmiechu jej spłoszyć, więc nie śmiem jej się pokazać. Bo widzisz, dole nasze różne. Ile ona jest uroczą, tyle ja wstrętną, wszystkiego, czem ona obdarzona, mnie brak, a to, co posiadam, jest złowrogie i okropne. Czy słyszysz, ile skarg i złorzeczeń mnie ściga? To wyjąci, co na mgnienie oka ujrzeli moją siostrę, a teraz zdjęci są straszliwą po niej tęsknotą i ci także, którym los nigdy nie dał oglądać tamtej, lecz oni przeczuwają ją i w pożądaniu więdną ich dusze. Wszysoy oni niby długi łańcuch duchów pokutnych wloką się za mną niechętni i zrozpaczeni, tego jedynie pragnąc — abym umarła. A ja sama śmierci łaknę, bo przed zgonem chwilkę jedną poję się blaskiem i oddycham wonią mojej siostry.

— Więc ty się chyba zowiesz zimą?

— Tak, a również smutkiem i niedolą, gdy ona, to — wiosna, radość i szczęście.

Gdy to mówiła, oblicze jej wyłoniło się z cieniów, a nie było ono odrażające, tylko jak całun blade i oczy, jak dwa posępne kwiaty i źrenice, jako ciemne, głębokie tonie, w których zapalały się niekiedy łagodne, księżycowe blaski.

Więc patrzyłem na nią, jak brat najsiostrę miłośnie i rzekłem:

— Nie złorzeczyłem ja ci nigdy, piękną dla mnie byłaś w postaci zimy, a jako smutek — piłom ciebie bez cierpkości i do niedoli nawykłem.

Chciałem jej też rzec coś miłego:

— Czyż nie wiesz — mówię — że już niedługo nowa spełni się twa ofiara i życiem znów okupisz weselny powrót twojej siostry?

tofle był również dobry i dobrze uprawiony, jak ten, który służy dla użytku gospodarza folwarcznego, żeby utrzymanie krowy było dobre, opał we właściwej porze dostarczony, a nadewszystko trzeba, aby parobek mający rodzinę, mieścił się w osobnem i schludnem pomieszkaniu. Ostatni (czy tylko?) ten warunek bywa częstokroć zaniedbywany. Konserwatyści z przekonań, uznajemy, że podstawą porządku społecznego jest poszanowanie wiary, rodziny i własności, a skupiając w ciasnej izbie kilka rodzin, podkopujemy podstawę rodzinnego życia, a podniecamy do swarów i kłótni." P. Górski radzi w dalszym ciągu gospodarzom dbałym o przychylność sług i sumienne wykonywanie robót — przynętę nie nową — wprowadzenie gratyfikacyj, udzielanych albo w stosunku do wysłużonych lat, albo gdy wyższe ceny produktów większy dochód przynoszą. „Bardzo mało nawet wynagrodzenia w ten sposób udzielane, pomyślnie oddziaływają na pracowitość, porządek i przychylność służby folwarcznej." Autor jest przekonany, iż pokusa emigracyi nie poruszy łatwo sług folwarcznych tam, „gdzie umówione, a główne potrzeby życia zaspokajające wynagrodzenie rzetelnie otrzymują." Czy można mieć nadzieję, iż słowa te pobudzą do czynu ogół rolników wedle wskazówek p. Górskiego? Jakże się łudzić wobec tego, iż hrabia Józef Łubieński, narzekając na ciężką dolę szlachty (w *Kaliszaninie*) rozpacza, że rozmaite instytucye, jak Towarzystwo kredytowe ubezpieczenia itd. znaczną część dochodu pochłaniają, a „resztę wyniosą powoli za najem i zasługę Bartki i Maćki"!

Jeżeli tak gruba ryba mimowoli wzdycha do czasów poddaństwa, to cóż powiedzą wychudzone karasie i... śledzie, które gromadnie wpadają do sieci licytacyjnej, zastawionej przez Towarzystwo albo lichwiarzy?

Drugi głos, zasługujący na uwagę, w sprawie uregulowania stosunków służbowych, znajdujemy w *Gazecie rolniczej*. Projektodawca, p. Frydro ze Sławina, uważa za jeden z zasadniczych warunków wygładzenia chropowacizny między pracodawcą a najemnikami — zaprowadzenie książeczek służbowych, na wzór miejskich. Powinny one zawierać legitymacye z urzędowem poświadczeniem na czele, a dalej trzy działy: pierwszy do wpisania faktu przyjęcia do służby, z wyraźnem określeniem, jak się zgodził, czy sam, czy z czeladzią i do czego w szczególności jeszcze się zobowiązał. Dział drugi — zobowiązania pracodawcy względem służącego; trzeci na wpisywanie świadectw, mianowicie, ile lat w danym folwarku służył, jakie obowiązki wypełniał, czy miał z przełożonym zatarg sądowy i jaki wyrok sąd w tej sprawie wydał. W razie zatargu książka taka byłaby pewną rękojmią dla sądów gminnych i, jak zapewnia p. Frydro, „wpłynęłaby na umoralnienie tudzież poprawę służących, a z drugiej strony zmuszałaby chlebodawców do sumiennego wypłacania przyjętych na się zobowiązań." Oprócz powyższego projektu, p. Fr. radzi zaprowadzić straż przysięgłą polową na wzór francuskiej *garde champêtre*. Przedstawiciel takiej władzy obowiązany byłby przynajmniej raz na tydzień być w każdej wsi swojego obrębu, wysłuchać zażaleń o szkody i jak służba się sprawuje. Nadto miałby on prawo załatwiać wszelkie pomniejsze nieporozumienia na miejscu lub nawet w razie konieczności nakładać kary w pewnym zakresie, wreszcie spisywać protokóły i oddawać do sądu sprawy ważniejsze. Projektodawca poleca swoje wnioski sekcyi rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. O ile pamiętamy, projekt przysięgłej straży polowej był już kilkakrotnie poruszany przez prasę ruską i robiono jakąś nadzieję zastosowania jej w czynie, tem bardziej, że jest to środek wypróbowany z pewnym dodatnim rezultatem za granicą. W społeczeństwie, gdzie z jednej strony pozostały jeszcze w znacznej dozie surowe pierwiastki barbarzyństwa, skłonność do niszczenia rzeczy nietylko prywatnych, ale i służących dla użytku publicznego, z drugiej zaś — dziedziczna krewkość, wyrządzająca krzywdę podwładnym i zależnym, tam taka władza rozjemcza może być w pewnej mierze plastrem kojącym. Podobny rezultat dałyby również książeczki służbowe i możeby w znacznym stopniu wpłynęły na rzetelniejsze wypełnianie zobowiązań pracodawcy, zalecanych przez p. Górskiego. Czy te jednak wszystkie środki byłyby radykalnem lekarstwem dla usunięcia „gorączki emigracyjnej," rzecz bardzo wątpliwa.

Zen. Piet.

Z ZACHODU.

II.

Ruch zawodowo-związkowy kobiet w Niemczech.

Duch łączności, wyrażający się w życiu ekonomicznem zagranicy pod postacią stowarzyszeń, jak wiadomo, ogarnia zarówno przedstawicieli kapitału, jak i podwładnych mu najemników. Pierwsi zespalają się węzłami karteli, „pierścieni" i trustów, drudzy mają spoidło w t. zw. związkach zawodowych (trades-unionach, izbach syndykalnych, fachvereinach). Skala rozwoju tych ostatnich, odpowiednio do stopnia okiełznania dzierżących ster pierwiastków społecznych, w każdym z przodujących w postępie krajów są różne. W Anglii np., nieskrępowano niczem, mierzą się dojrzałością, dającą najemnikowi nietylko doskonały środek obrony własnych interesów, ale także możność oddziałania z czasem na zasadniczą postać rzeczy. We Francyi, spętane przepisem, że mogą się składać tylko z fachowców, mających zajęcie, napotykają poważny szkopuł rozwoju i jakkolwiek na drodze legalnej, wzorując się na prawie z r. 1884, dosięgły już donioslej cyfry 1,086, liczbą tą jednak nie wyczerpuje się cała suma ruchu najemniczego w tym zakresie: po za szrankami przepisów tworzą się inne spójnie, przestronniejsze, bardziej odpowiadające dążnościom ludzi, nimi połączonych. Mieszczą się one na liście zaledwie tolerowanych, ale wobec uporczywych nalegań na sfery — mówiąc żargonem naszych dziennikarzy — „miarodajne" o usunięcie odnośnych hamulców, możliwe jest, że jako wyprzedzająca uznanie rzeczywistość, nietylko z czasem przestaną być kopciuszkami prefektów, ale uświęcone będą jako nowy a szerszy typ łączności legalnej. W Niemczech prąd asocyacyjny, zwłaszcza kobiecy, także nie płynie szerokiem łożyskiem i nawet „nowa era," zaczęta dalekoidącemi obietnicami, nietylko nie przyniosła mu rozleglejszego przestworu, ale po dawnemu powstrzymuje go ręką landratów.

Z całego „tradeunionizmu" najemniczego wybieram kobiecy i zatrzymam uwagę czytelnika nad jego losem w Niemczech i ogólnem znaczeniu w dzisiejszem życiu społeczno-ekonomicznem. Nie mam pod ręką należytego materyału faktycznego, przeto trudno mi będzie dać całkowity i pełny obraz ruchu emancypacyjnego kobiet niemieckich. Poprzestanę więc tym razem na jego próbce. Przedstawia się on jeszcze dość młodo, wymaga gorących nawoływań ze strony inicyatorek i inicyatorów i, zwłaszcza w Prusach i Bawaryi, natrafia na paragraf prawa o stowarzyszeniach, który orzeka, że „kobiety i uczniowie nie mogą uczestniczyć w stowarzyszeniach politycznych." To ograniczenie, jakkolwiek w zasadzie nie sprzeciwia się związkom, mającym na celu obronę ekonomicznych interesów kobiet, tolerowanych zresztą do czasu, bywa jednak wybornym pretekstem do rozwiązywania ich. Taki los spotkał już wiele syndykatów kobiecych, między innymi zaś „Towarzystwo szerzenia oświaty ludowej" w Berlinie, mieszane (kobieco-męzkie). Uznano je za polityczne, a więc sprzeczne z prawem, wzbraniającem dostępu kobietom i uczniom.

— Nie mi jeszcze nie zwiastuje — odrzekła, głowę spuściwszy i zasłoną się otuliła, na której mętne w szarości połyskiwały kryształki lodu. I odeszła.

Gdy po niedługim czasie znów nocą szedłem ku temu brzegowi, już zdala posłyszałem szmer jakiś miękki i jednostajny, który mnie oszukał, bo mi się zdało, że to na jeziorze trzciny tak szeleszczą. A to kry płynęły już wiotkie, kruche i na skrajach stopniałe, trącając się, szeleściały tak mile. I leżał na wodzie wspaniały snop błękitnosrebrnych księżycowych świateł— i w nich płonęły się te szare okruchy lodu. A od dalekich brzegów leciał jakiś oddech wielki i już nie zimny wcale...

Pomyślałem tedy: Otóż — zwiastowanie.

Orły.

Na górskich szczytach, kędy jutrzenka najraniej stąpa, orły swe gniazda uplotły.

Śmielsze od najśmielszych ludzi, one górom, przepaściom i obłokom królowały, przed słońcem źrenic nie mrużyły.

A jeden pyszny był ogromnie.

On straszną w sobie miał odwagę i siłę niepojętą i we krwi ogień niespokojny.

On z braćmi boje staczał tak okropne, że blade pierzchały z gór obłoki, a w przepaściach zalęknione strumienie z szeptem trwożnym uchodziły śpiesznie w doliny.

Ten orzeł jedno umiłował marzenie, aby samemu na szczytach królować.

I oto raz wpół senna jutrzenka, z mgieł wilgotną przecierając źrenicę, ujrzała, jak z nagiej, martwej skały pyszny orzeł strącał braci zabitych w czeluść kamienną, czarną, bezdenną.

A potem, jak strzała, pomknął w górę i wzleciał tak wysoko, że go słońce dojrzeć nie mogło...

Lecz wrócił... Wrócił on na skały nagie, zimne, puste.

I został sam jeden.

I latał on teraz sam jeden, a częściej, jak głaz nieruchomy, siedział na krawędzi skały, skąd orle spadły ciała i patrzał na potok spieniony, co martwych orłów z krwi obmył i wśród dolin zielonych pochował.

I gdyby ten ptak samotny mógł płakać, to by płakał, gdyby mógł jęczeć, to by jęczał, gdyby mógł wołać, to by wielkim głosem swych braci przywoływał.

Bo jego teraz okropny trawił smutek.

Te skały, którym królował, wszystkie były martwe, to ptactwo, co go okrzyknęło panem swym, wszystko było nędzne i małe.

On nie miał teraz z kim walczyć, ani ścigać się wśród słonecznych przestworów.

Lecz zmiłował się nad nim jeden błędny piorun i zgotował mu piękną, królewską śmierć.

Wtedy słońce zachodziło purpurowe, na niebie walczyły chmury, pierś o pierś roztrącając z hukiem i wichry ryczały wściekle, a skały wstrząśnione drżały aż do swych posad. Ognistą ugodzony strzałą spadł orzeł w wezbrany potok i obmyty srebrzystą pianą popłynął kędy spokój wieczny.

On wśród braci i dolin kwiecistych spoczywa.

F. Brodowski.

Niestosowność tego zakazu jest zręcznie wyzyskiwana w agitacyi emancypacyjnej przez mówczynie na zebraniach kobiecych i daje im pochop do żądania prawa wyborczego dla upośledzonej połowy rodu ludzkiego. „Możnaż kobiety zamężne porównywać z uczniami?“ — pyta pani Legien na publicznem zebraniu kobiet i dziewcząt z Wandsbecku i okolicy. „Wyrwana z życia domowego przez maszynę i ujarzmiona przez nią — jakie ma prawa? Pod względem ekonomicznym — tylko prawo ofiarowywania swych sił za bezcen. Do prawa publicznego (państwowego) także winna mieć dostęp. Alboż jej nie obchodzi to, że cła podnoszą wartość środków spożywczych, że obecny zarobek nie wystarcza na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb życia?“ Inna znów mówczyni na zebraniu związkowo-zawodowem pracownic z przemysłu tkackiego w Sorau (pani Wabnitz) występuje z odczytem o „prawie przyrodzonem i ludzkiem“ w obecności pastora i antisemity, z których pierwszy, protestując przeciwko wywodom, zaleca natomiast ucieczkę w miłości bliźniego, drugi — zwalczanie kapitału żydowskiego. Pani Niemayer wreszcie, chcąc uprzytomnić słuchaczkom wszechnarodową rozległość pola, które w przyszłości objąć winien prąd gospodarczo-społecznej emancypacyi kobiet i zadzierzgnąć na niem węzły łączności zawodowej — oblicza*) przemysłową armię kobiecą: w Anglii na [illegible] miliona, we Francyi na $4\frac{3}{4}$, we Włoszech na $3\frac{1}{2}$, w Niemczech na 5, w Austro-Węgrzech na $3\frac{1}{2}$ — ogółem na $20\frac{1}{4}$ miliona. Tak ogromny zastęp przedstawicielek najtańszej siły roboczej, istot upośledzonych najbardziej pod względem ekonomiczno-społecznym, najmniej odpornych wobec nadużyć strony silniejszej, istot niespójnych, o nizkim poziomie potrzeb — to żywioł, który będąc bezwładnym i ślepym, jest kulą u nóg całej armii najemniczej w jej pochodzie naprzód. Dlatego też tak liczna współzawodnicząca nietylko z mężczyznami, lecz i między sobą rzesza, powinna ze zbiorowiska luźnych i nierozumnych ziarnek piasku stać się spójnem ciałem, ożywionem jednym celem, słowem uspołecznić się drogą związków zawodowych. Ci zaś z mężczyzn, którzy przeszkadzają swoim żonom, siostrom i kochankom do nich należeć, winni tego nierozumnego postępku zaniechać i zrozumieć, że związki zarówno męzkie jak kobiece jedno mają zadanie przed sobą: obronę interesów materyalnych i rozwój ducha jedności — że są prawowitą dźwignią samopomocy dla pracujących, tak samo jak nią są kartele i trusty dla przedsiębiorców. Czas więc, żeby kobiety, korzystając z doświadczenia swoich współfachowców-mężczyzn, przestały trzymać się ich poły i wystąpiły na polu ogólnej emancypacyi samodzielnie. Tym wezwaniom towarzyszą zwykle, jako bezpośrednie bodźce, dane statystyczne, malujące położenie obecne kobiet pod względem materyalnym: skala zarobku i nieproporcyonalny do niej wysiłek.

W taki mniej więcej sposób szerzona jest na meetingach kobiecych „idea“ tradeunionizmu przez bardziej przedsiębiorcze i wrażliwsze jednostki — pionierki. Idea ta, będąc streszczeniem doświadczenia męzkiej połowy świata najemniczego, trafia na grunt dość już przygotowany przedmiotowo przez warunki życia społeczno-ekonomicznego, jakie określa obecny przemysł wielki. Maszyna oderwała już kobietę od ogniska rodzinnego i węzły życia domowego rozluźniła, natomiast zaś dała równoważnik natury bardzo ujemnej: siłę roboczą kobiety wciągnęła w wir ślepych czynników rynku pracy, wystawiła ją na wszystkie następstwa żywiołowości popytu i podaży, uczyniła zeń towar najtańszy i przeciwstawiła go podobnemuż towarowi najemnika-mężczyzny. Korzyści z tego nowego ustosunkowania pracy do jej środków znalazły się w stosunku odwrotnym dla obu tych czynników produkcyi. Zdobywanie środków utrzymania rodziny najemnika, dokonywane dawniej przez jednego z członków ogniska domowego, dziś, przy zastosowaniu pracy maszynowej, rozdzielone zostało na wszystkich członków rodziny: nietylko na męża lub brata, ale i na żonę, siostrę i córkę. Przedstawiciel środków wytwarzania tą drogą pozyskał większą siłę sumy roboczej, dostarczanej przez całą rodzinę przy tym samym zarobku, rodzina zaś — mniejszy zarobek przy zwiększonym wysiłku. Co gorsza, nad tą rodziną zawisł miecz Damoklesa innej jeszcze dążności maszyny względem kobiety, dążności polegającej na tem, żeby tanią siłę niewieścią (np. w tkactwie) wysunąć całkowicie na plan pierwszy i zastąpić nią wyłącznie męzką, tę ostatnią zaś usunąć zupełnie z rynku pracy i wepchnąć po za kulisy ogniska domowego. A dążność taka, wiadomo przecie, że, np. w Ameryce w niektórych okręgach przemysłu tkackiego, ucieleśniła się już w szczególnej postaci t. zw. „miast babich“ (*she towns*), gdzie rola mężczyzny utrzymania rodziny spadła na barki kobiety, tej zaś ostatniej gospodarka domowa — na mężczyznę. Na dalszym widnokręgu takiego stanu rzeczy zjawia się ohydne widmo prostytucyi, jako dopełniające źródło dochodu uszczuplonego. W Niemczech do tego jeszcze nie doszło, ale za to wystąpiła na rynku ostra przeciwstawność dwóch sił: tańszej niewieściej i droższej męzkiej. Sroży się więc między niemi walka współzawodnicza, ujemna obustronnie w skutkach. Sprawczynię tego zła — maszynę w jej postaci monopolistycznej — kiełzna wprawdzie wędzidło prawodawcze, znane w Niemczech jako „Arbeiterschutzgesetzgebung,“ ale ono, pomimo dobroczynności swego działania pod innym względem, nie dotyka głęboko głównego rdzenia rzeczy: systemu podziału dochodu społecznego. Z tej więc strony najemnik mężczyzna, wzorując się na asocyacyach przedsiębiorców i korzystając z przysługującego mu prawa stowarzyszeń, znajduje ucieczkę w „Fachvereinie.“ Ale 5 milionów kobiet, zatrudnionych przez maszynę, luźnych i współzawodniczących z nim i między sobą — jest piętą Achillesową tej warowni.

To wszystko właśnie stanowi przedmiotowe podścielisko szerzącego się obecnie w Niemczech „tradeunionizmu“ kobiecego i jego idei, wspieranej z drugiej strony przez atmosferę rodzinną, którą wnosi starsze doświadczenie zawodowo-związkowe mężczyzn. To też sieć „tradeunionistyczna“ zdołała już w świecie kobiecym znacznie się rozgałęzić. Bielefeld („Freie Vereinigung der Frauen und Mädchen“), Halle („Związek kobiet i dziewcząt“), Hanower z okolicami („Związek dla ochrony interesów najemnic“), Lipsk („Związek dla obrony wszystkich zajętych w papiernictwie kobiet i mężczyzn“), Lubeka, Moguncya („Związek szeftarek,“ tj. okładnic, czyli kobiet, pracujących w fabrykach oprawiania broni), Rostock, Sternberg, Stuttgart („Związek papierniczek“), Berlin („Związek platerownic,“ „Wirken und Wirkerinnen-Verein,“ „Wolny związek krawców i krawczyń damskich,“ „Związek szeftarzy i szeftarek“ itd.), Dessau, Forst („Związek robotnic z tkalni,“ 800 czł.), Brema, Belten, Altona, Eilenburg i wiele innych punktów przemysłowych w Niemczech—ogarnia ruch emancypacyjny kobiet.

Jakkolwiek jest on młody jeszcze, ale ma już w Hamburgu wychodzący własny organ („Arbeiterin,“ Zeitschrift für Interessen der Frauen und Mädchen des arbeitenden Volkes), dał przedstawiciela na zjeździe zeszłorocznym w Halle, dąży do ogólnego związku w państwie i wystawia nietylko żądanie oddzielnej inspekcyi fabrycznej z kobiet dla kobiet, uzasadniając to przykładem Ameryki, gdzie instytucya tego typu okazała się bardzo celową i pożyteczną, ale nawet usiłuje (dotychczas ideowo tylko) uczestniczyć w walce o równouprawnienie w życiu państwowem. Pod tym względem, sam będąc jądrem czysto najemniczem, stara się zjednać dla siebie sojusznice w warstwach uprzywilejowanych. Z tej strony atoli, jak i z wielu innych, napotka i napotyka na wielki opór zachowawczości żywiołów społeczeństwa niemieckiego, które każdy i na jakiemkolwiek polu objaw samodzielności kobiecej wita wrogo.

Godne jest uwagi, że cały ten ruch wzrasta na drożdżach społeczno-demokratycznych; jak zaś dalece jest niechętnie widzianem zjawiskiem, dowodem może być grad obelg i wymysłów od „nafciarek“ i „kobiet bez czci i wiary,“ który odbiera ze strony prasy zachowawczej jedna z najcenniejszych ruchu tego pionierek — pani Ihrer.

Zyg. Pietkiewicz.

*) Według prof. Singera z Wiednia.

BADANIA NAUKOWE.

ANTROPOLOGIA ZBRODNI.

II.

Antropologia z dumą podnosi swoją odwagę cywilną i, przepraszam za wyrażenie, zapędy „radykalne.“ Przy bliższem jednak wpatrzeniu się spostrzegamy, że ta odwaga okrywa jedynie hałaśliwą krzykliwość lub niekiedy zupełne filisterstwo. Możemy wskazać autorów, gdzie wszystko sprowadza się do paradoksów. Świetnymi i błyskotliwymi fajerwerkami upstrzyli oni lub zamaskowali istotną nicość swoich wywodów lub efektowne przekomarzanie się różnym poglądom bieżącym, zresztą bez głębszego znaczenia. Ktoś np. rozwodzi się bardzo długo o pożyteczności związków małżeńskich kazirodczych, wykazując, że w nich jedynie spoczywa zbawienie ludzkości, co wygląda mało przekonywająco, lecz nader oryginalnie. Następnie zwróci się do studyów nad kobietą i oświadczy, że nauka musi dla niewiast utworzyć nowy gatunek, który należy umieścić pomiędzy mężczyzną a małpą człekokształtną, a będzie to wywód również olśniewający błyskotliwością, a zakończony wnioskiem, że kobieta, jako zwierzę niżej postawione na drabinie zoologicznej, winna pozostawać w niewoli u wyższego: mężczyzny. Nie będziemy zastanawiali się nad znaczeniem antropologii w dalekiej przyszłości, kiedy ona stanie się istotną kierowniczką życia społecznego i podstawą hygieny gromadzkiej. Dzisiaj jednak ów filisteryzm, uzbrojony paradoksami, jest prostem następstwem walki, która wre wśród społeczeństw cywilizowanych. Każda strona chwyta za oręż nauki i usiłuje swoje stanowisko lub zapatrywania usprawiedliwić w sposób „naukowy.“ Przewybornie to uwydatniło się na szermierce ideologicznej, kiedy szło o wyzwolenie murzynów z niewoli, lub dzisiaj, gdy chodzi o emancypacyę kobiety. W obecnej chwili dziejowej stosunki ekonomiczne są istotną sprężyną najrozmaitszych zjawisk społecznych. Lecz sprawcą i głosicielem owych zmian oraz przedstawicielem owych zjawisk jest człowiek. Stanowi on narzędzie, za pomocą którego przyczyny materyalne działają i wywołują odpowiednie przekształcenia. Naturalnie człowiek występuje jako jednostka konkretna, obdarzona szczególnymi poglądami i posiadająca taką lub inną określonego składu naturę emocyonalną. Otóż nic nie może być prostszego i zrozumialszego, niż celowe zaciemnianie owych sprężyn głębszych, społe-

czno-materyalnych. Pewna „rasa“ np. utrzymuje się z lichwiarstwa. Głębsza krytyka zajmie się pytaniem, czy lichwa jest zjawiskiem przypadkowem, czy też stałem, a wykazawszy, że to ostatnie zachodzi we wszelkiego rodzaju społeczeństwie wymienno-towarowem, da spokój wyprawom krzyżowym przeciwko szczególnym nosom. Lecz komu idzie tylko o usunięcie współzawodników, nigdy zaś o zniesienie źródeł lichwy, ten natomiast zwróci wywody w kierunku właściwości rasowych. Słowem, jeśli antropologia wraz z psychiatryą są systematycznie przeciwstawiane krytyce ekonomicznej, nie jest to bynajmniej rzeczą przypadku, ani też wynikiem poważnych studyów naukowych, lecz powstaje stąd, że te gałęzie wiedzy dają najlepszy środek mydlenia oczów. Psychiatrya np. służy dzisiaj za nader surowego sędziego, potępiającego każdego jako półgłówka, kto wyznaje szczególne zapatrywania. Antropologia zaś, o ile nie jest zbieraniem faktów suchych, mierzeniem wskaźników itd., lecz została użyta i zastosowana do różnych pytań dnia, jest nawskróś rynsztunkiem publicystycznym, w którym paradują wszyscy, chcący tak lub inaczej obejść milczeniem istotne sprężyny rozwoju nowoczesnego. Jest to wyjaśnienie ukochania owych paradoksów i wewnętrznego filisteryzmu „socyologów“ obozu antropologicznego.

Odbiegliśmy nieco od przedmiotu, ale nie tak daleko, jakby się to zdawało, gdyż wszystko, co wyżej powiedzieliśmy, da się zastosować do dotychczasowej włoskiej antropologii kryminalnej. Gdy się ukazała, przyjęto ją w obozie mieszczańskim jako wybornego sprzymierzeńca w wyprawie przeciwko poglądom, że każdorazowem źródłem zbrodnictwa są istniejące w odpowiedniej chwili warunki i stosunki ekonomiczno-społeczne. Zresztą takiem też było od początku stanowisko najwybitniejszych jej włoskich przedstawicieli, a jeśli dzisiaj uległo ono niejakiemu złagodzeniu, to wskutek podniesionego krzyku polemicznego. Lombroso sam, odpowiadając na niektóre zarzuty, z dumą podkreśla, że szkoła antropologiczno - kryminalna wyznacza w zbrodni rolę najważniejszą wpływom klimatycznym i antropologicznym. Garofalo posuwa się jeszcze dalej: „tegoczesny porządek ekonomiczny, tj. sposób podziału bogactw nie jest wogóle jedyną przyczyną zbrodnictwa; istnienie zaś nędzy nie ma żadnego wpływu na rozmiary przestępstw.“ Ferri, trzeci z wielkich świeczników antropologii kryminalnej, nie zachodzi tak daleko, chociaż pisze dzieło specyalne, w którem wykazuje, że niepodobna marzyć w żadnym okresie dziejowym o donioślejszych reformach, gdyż wszystko zależy od natury ludzkiej, która, jak tego dowiodła antropologia kryminalna, bynajmniej nie jest kruszcem szlachetnym. Tak się mówi, kiedy chodzi o odparcie zarzutów jednostronności, w praktyce zaś i w wywodach niepolemicznych zupełnie zapomina się o czynnikach zbrodni, tkwiących w takiem lub innem środowisku społecznem. To też antropologia kryminalna dotychczasowa wywołała wśród głębszych, a co główniejsza—wyrobionych społecznie umysłów we Włoszech silne zarzuty. Świadczą o tem prace Turatiego i Colajanniego. W walce przekonań społecznych antropologia kryminalna wystąpiła tam nie jako nauka czysta, dbająca o zbadanie pewnych faktów, lecz przedewszystkiem jako oręż klasowy. Gdybyśmy z pośród inteligencyi włoskiej usunęli umysły nawskróś zachowawcze, resztę zaś podzielili na rzeczników dotychczasowej antropologii kryminalnej i jej przeciwników, otrzymalibyśmy jednocześnie rozmieszczenie partyjno-społeczne. Ta jednak okoliczność dowodzi, iż na dnie antropologii kryminalnej tkwi coś takiego, co gdyby było prawdą, wtedy trzeba by się zgodzić, że i samo pojmowanie mieszczańskie istoty społecznej ma zupełną słuszność za sobą.

Zresztą pozostawimy na uboczu walkę pomiędzy antropologami kryminalistami a ich przeciwnikami we Włoszech. Natomiast przyjrzymy się istotnemu oddziaływaniu na zbrodnię ze strony stosunków społecznych. Na podstawie faktów, jaskrawo rzucających się w oczy, możemy śmiało powiedzieć, że zbrodnia, zarówno pod względem jakościowym, jak i ilościowym, jest kategoryą nawskróś historyczną, tj. zależną od miejsca i czasu. Weźmy np. różne przestępstwa przeciwko przyzwoitości publicznej. Już w tym fakcie, że występność kawalerów jest tu większa, niż żonatych, wdowców zaś największa, odrazu ukazują się wpływy natury społecznej, tj. przebywanie człowieka w tych lub innych warunkach. Wiadomo też, że przestępstwa przeciwko obyczajowości są szczególną właściwością miast wielkich. Objaw to najzupełniej zrozumiały. Normalne zaspokajanie potrzeb płciowych jest, a raczej było do ostatnich czasów zasadą wśród ludności wiejskiej. Przeciwnie dzieje się wśród tego mrowiska ludzkiego, jakie zowiemy wielkiem miastem. Okres dojrzałości płciowej a chwila ożenku (mniejsza o jego formę) idą tutaj odrębnie od siebie, a to rozłączenie wywołuje cały szereg zaburzeń w organizmie; nadto życie miejskie sprowadza szczególne rozstroje nerwowe, oddziaływające także [na pobudliwość lubieżną — itd. Wszystko to spowodowywa mnóstwo szczególnego rodzaju czynów, które, wybiegając po za normy, dozwolone przez obowiązujące prawo, są ścigane i karane jako przestępstwa przeciwko przyzwoitości publicznej. Albo przejdźmy do innego przestępstwa — kradzieży. W staroczesnej gminie rolnej, gdzie każdy obywatel ma zapewniony udział w gruntach, paśnikach i lasach, a nadto pozostaje pod opieką prawa zwyczajowego, nakazującego w razie potrzeby spieszyć mu z pomocą, kradzież jest zjawiskiem rzadkiem, popełnianem względem wyjątkowo cennych przedmiotów lub względem cudzoziemców. Zbywa tutaj wprost na sposobności do niej i na potrzebie. To samo możemy powiedzieć o byciu pasterskim w rodzaju tego, jaki spotykamy u kafrów. Ktokolwiek zabija wołu, wywiesza rogi nad swoją chatą, a to oznacza, że każdy może przyjść i wziąć kawałek mięsa bez opowiadania się gospodarzowi. Jeżeli kafr, zabiwszy wołu, zje go pokryjomu, nieuwiadamiając ziomków, uchodzi wtedy za człowieka bez czci i wiary i dostaje przezwisko złodzieja. Śród takich warunków kradzież w obrębie wioski musi być również zdarzeniem nader wyjątkowem. A teraz rozważmy stosunki panujące w Anglii lub Francyi. Niepewność zarobku jutrzejszego jest tu zjawiskiem stałem dla całych tłumów ludności. Człowiek musi niekiedy pokutować za winy niepopełnione. Podczas wojny w Stanach Zjednoczonych o zniesienie niewolnictwa dowóz bawełny surowej do Anglii ustał zupełnie, a skutkiem tego setki tysięcy osób straciło wszelki zarobek. To samo bywa podczas każdego przesilenia handlowego, a człowiek jest wtedy niekiedy pozbawiony wszelkich środków utrzymania. Nadto pamiętajmy, ze okresy przesileń są jedynie spotęgowaniem stanów codziennych i że nawet podczas ożywienia przemysłowego zawsze istnieje nadmiar rąk bez zatrudnienia. W Paryżu według danych, które posiadamy pod ręką, codziennie 50 tysięcy ludzi budzi się, nie wiedząc, czy znajdą robotę, a zatem czy będą cokolwiek jedli i zapłacą za schronienie na noc. Obliczają, iż w Londynie tuła się około 100 tysięcy młodzieży w różnym wieku, bez opieki rodzicielskiej i środków utrzymania. Otóż zadajemy sobie pytanie, czy w fakcie tym nie musi tkwić źródło nieustające mnóstwa występków przeciwko obowiązującemu prawu? Cyfry statystyczne niepodejrzanej wiarogodności, pochodzące z najrozmaitszych miejsc, jednozgodnie wykazują całą zgubność w tej mierze włóczęgostwa, które jest niczem innem, jak nieposiadaniem stałego dachu nad głową i brakiem zapewnionej strawy. To też z pośród 32,943 kradzieży, popełnionych pewnego roku we Francyi, 57% przypadło na „włóczęgów.“ Zależność z jednej strony pomiędzy przesileniami handlowo-przemysłowymi a rozmiarami włóczęgostwa, z drugiej zaś pomiędzy włóczęgostwem a kradzieżą jest faktem stwierdzonym dostatecznie. Niepodobna tu wahać się w przyznaniu, że przestępstwa przeciwko własności są kategoryą natury społecznej i zmieniają się zależnie od stosunków społecznych. Między innemi zaznaczymy pracę jednego wybitnego francuza, który wykazał, że krzywa, przedstawiająca kolejne zmiany z roku na rok w napięciu kradzieży, idzie dla Francyi równolegle z cenami zboża (Lafargue).

Wzięliśmy jedynie kilka przykładów. Moglibyśmy jednak nasze założenie zasadnicze rozciągnąć nader szeroko i w całej pełni wykazać, że zamiary zbrodni oraz jakość jej znajdują się w najściślejszym związku z ukształtowaniem stosunków społecznych. Kiedyś wypadło nam to już uczynić z powodu książki pana Buczyńskiego *Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa*. Tutaj streścimy tylko ogólne wnioski, do których naówczas doszliśmy. Kradzieże, oszustwa, fałszerstwa i przestępstwa przeciwko przyzwoitości publicznej są głównie występkami życia miejskiego; przeciwnie, dzieciobójstwo i podpalanie kwitną na wsi. Przedstawiciele przemysłu i handlu odznaczają się olbrzymią procentową obfitością popełnionych fałszerstw, przeniewierzeń i oszustw, tego samego kierunku zbrodniczość przeważa wśród zawodów wyzwolonych, z tą tylko różnicą, że tutaj nader też częstem przestępstwem są wykroczenia przeciwko obyczajności; zabójstwa, dzieciobójstwa, kradzieże i podpalenia są znowu charakterystycznemi zbrodniami warstwy służących; wyrobnicy zaś występują przedewszystkiem jako złodzieje. Mamy tutaj przed sobą w całem tego słowa znaczeniu wpływy zawodu i zajęcia. Co więcej, liczba kradzieży jest wtedy największą, kiedy warunki utrzymania układają się jak najgorzej, a mianowicie w zimie. U kobiet obfitość kradzieży zależy od stanu; mężatka mniej ma do czynienia ze sprawiedliwością, niż wdowa. W powyższych wypadkach jaskrawo i wyraźnie występuje przed nami zbrodnia, jako kategorya na wskroś społeczna, zmienna z każdorazowem ukształtowaniem stosunków ogólnych. A tymczasem antropologia kryminalna puszcza wszystko to w niepamięć! Będzie wyszukiwała, czy obfitość kradzieży nie zależy czasem od zmian barometrycznych, nie wspominając ani jednem słowem o podkładzie ekonomicznym. A tymczasem jest rzeczą aż nazbyt oczywistą, że jeśli zmiana barometryczna może odgrywać jakąś rolę, tylko wtedy, kiedy człowiek znajduje się w warunkach społecznych szczególnego rodzaju. Ślepota antropologów - kryminologów jest niekiedy zdumiewająca. W w. XVII i XVIII w. landlordowie angielscy w izbie panów wydają sobie kolejne pozwolenia na wywłaszczanie chłopów, siedzących w obrębie dawnej ich jurysdykcyi feodalnej, okazało się bowiem, że grunta włościańskie, zamienione na folwarczne lub na paśniki, dadzą więcej dochodu, niż wynoszą pobierane czynsze. Chłopstwo, wyrzucone z gruntów, nieznajdując żadnego zarobku, zaczyna włóczyć się. Ukazują się surowe prawa, godne barbarzyństwa: piętnowanie, obcinanie uszów, oddawanie w niewolę, wieszanie włóczęgów. Otóż jeden z ojców włoskiej antropologii kryminalnej rozpatruje całe te zjawisko w oderwaniu od przyczyn, które je wywołały. Włóczęgi są dlań zwyrodniałemi naturami antropologicznemi, wieszanie i piętnowa-

nie — wysoce pożytecznym doborem, usuwającym nieponiów i ustalającym porządek cywilizowany...

Lecz teraz zjawia się inne pytanie, które nas wprowadza w samo jądro poglądów antropologiczno-kryminalnych. Mianowicie, jak widzieliśmy, a o czem milczy antropologia kryminalna, zbrodnia jest zjawiskiem na wskroś społecznym, złoczyńcy zaś rozbitkami, wyrzuconymi w ten lub inny sposób z życia normalnego. Jednak dlaczego nie wszyscy, znajdujący się w pewnych warunkach popełniają zbrodnię? Czyż niepodobna sobie tego przedstawić, że tylko pewne szczególne natury idą po drodze zbrodniczej, jedne w jednych, inne w innych okolicznościach? Zobaczymy, iż na to pytanie należy odpowiedzieć w sposób twierdzący. Lecz wraz z powyższem podniesiemy jeszcze inne, zupełnie obce antropologii kryminalnej: czy owe cechy, wyróżniające zbrodniarza od człowieka „uczciwego," są istotnem piętnem Kainowem, z góry skazującem go na zbrodnię we wszystkich miejscach, czasach i warunkach, czy też może zbrodniarz w innem otoczeniu byłby też innym człowiekiem?

Lud. Krz.

NAUKI SPOŁECZNE A PRZYRODOZNAWSTWO.

Lat temu kilka, młodzież polska z natężoną uwagą śledziła za przebiegiem ożywionej dyskusyi, którą prowadzono w prasie naszej na temat: czy wolno przyszłemu lekarzowi lub chemikowi po za swoją specyalnością zajmować się jeszcze ogólnemi sprawami społecznemi? Wtedy to wystąpił z swojemi co najmniej ojcowsko-filisterskiemi radami wycofany z obiegu działacz społeczny, p. Ludwik Straszewicz, a Bolesław Prus polemizował w *Kuryerze* z „Entuzyastą." Prus, znakomity powieściopisarz i dyletant w socyologii, twierdził wtedy, że społeczeństwu potrzebni są lekarze i inżenierowie, a kto w tym kierunku zadanie swoje spełnił, tj. zyskał rozległą praktykę lub dobrą posadę, ten może z poczuciem spełnionego obowiązku spoglądać na przebytą drogę. I jakby naumyślnie, żeby dowieść, że dobra wola i wrażliwe serce, nawet takie serce, które głęboko odczuwnie całą niedolę Ślimaków i durnych Michałków, nie mogą zastąpić wiedzy socyologicznej, Prus zaplątał się w podział idej społecznych na wielkie i małe, który nie wytrzymuje żadnej krytyki.

Zbiegiem okoliczności ta sama kwestya wyrzucona została obecnie na powierzchnię wypadków bieżących w Niemczech i Austryi, a polemikę o nią prowadzą tytany nauki i stanowiska społecznego.

Szeroko po świecie rozniosły już dzienniki wiadomość o obchodzie 70-letniego jubileuszu urodzin Virchowa, o mowie jego i o wysokiem odznaczeniu, które udzielił cesarz Wilhelm Helmholtzowi. Ocenić jednak te fakty w całem ich doniosłem znaczeniu może ten tylko, kto wie, kim jest Rudolf Virchow. A jest to doprawdy rzecz niełatwa dokładnie opowiedzieć niewtajemniczonemu, ile medycyna współczesna zawdzięcza temu jednemu człowiekowi. W takich wypadkach trzeba wierzyć na słowo. Faktem jest, że student, który słucha po raz pierwszy anatomii patologicznej, ogłuszony jest brzmieniem tego nazwiska, które spotyka na pierwszym wykładzie i na ostatnim, oszołomiony widokiem tej potężnej siły, która jednocześnie niszczy i buduje. Otrzymuje się takie wrażenie, że zanim Virchow powiedział: „fiat lux," w świecie medycyny było ciemno, pusto i głucho, bo on dopiero ugruntował podstawowe, panujące dziś poglądy, on dopiero wprowadził ład jakiś w tłomaczeniu zaburzeń i procesów chorobowych, on dopiero stworzył racyonalną klasyfikacyę, pozwalającą oryentować się w lesie guzów i nowotworów. Wiele ważnych pojęć ogólnych, któremi zbogacił naukę, stało się już obecnie takim powszechnym nabytkiem, takiem utartem zdaniem, że zapomniano zupełnie, kto je pierwszy wprowadził. Z wyjątkiem medyków niewielu wie zapewne, że np. prawo: „omnis cellula a cellula" wygłosił i uzasadnił dopiero Virchow. Na gruzach humoralnej on mocą długoletniej pracy zbudował dzisiejszą, komórkową patologię, a chociaż obecnie medycyna wchodzi w nową fazę, chociaż przyświeca jej już zorza nowego okresu bakteryologicznego, to jednak, co Virchow dla niej zrobił, będzie po wsze czasy dla nauki cennym nabytkiem, a dla niego pomnikiem geniuszu i pracy. Virchow, jak słusznie powiedział prof. Albert, wypełnia sobą cały okres medycyny pomiędzy Rokitańskim a Kochem.

Ale Virchow studyował człowieka nietylko jako ciekawy zlepek tkanek, lecz badał go też w charakterze antropologa i hygienisty, jako całość biologiczną i w charakterze polityka, jako jednostkę społeczną. Stojąc na czele opozycyi za rządów Bismarkowskich, zawsze otwarcie i śmiało bronił swoich demokratycznych i wolnomyślnych zasad, a w chwili, gdy cały świat lekarski składał mu zasłużone hołdy, ten 70-letni entuzyasta w pełnej zapału mowie odmawiał prawa do idealnych dążeń tej młodzieży akademickiej, która nie wyznaje przekonań wolnomyślnych. Zrozumiałem tedy jest, że w obchodzie jubileuszu Virchowa nie przyjmowały udziału wyższe sfery i że cesarz Wilhelm pospieszył nadać tytuł radcy tajnego Helmholtzowi oraz powiedzieć mu, że ceni w nim umysł, który w swych idealnych dążeniach daleko po za sobą pozostawił odmęt polityki, bo „życie polityczne psuje charakter człowieka." Wiadomo, że Virchow, który właśnie nie unikał odmętu polityki i którego już ominęła kiedyś za to godność rektorska, a teraz komers ze strony konserwatywnych korporacyj burszowskich, w pełnem męzkiej godności przemówieniu odparł to wścibstwo w swoje osobiste przekonania. „Jak ja postępuję, to *moja* rzecz, ale dopóki nie wchodzę w starcie z kodeksem, mam prawo uważać się za dobrego obywatela"— powiedział na bankiecie w ratuszu berlińskim.

Był jednak kiedyś człowiek, który pomimo to, że stał na czele rządu, poważał głęboko Virchowa i szanował jego przekonania polityczne, mianowicie cesarz Fryderyk: jednym z pierwszych czynów jego panowania było udzielenie wysokiego orderu znakomitemu badaczowi.

Jeszcze nie przebrzmiały echa uroczystości berlińskich, gdy z tronu rektorskiego w Wiedniu dała się słyszeć obrona tych poglądów, których dokładną ilustracyą jest życie i działalność Virchowa. Profesor prawa rzymskiego, Adolf Eksner, obrany rektorem uniwersytetu wiedeńskiego, wygłosił dnia 22 października r. b. mowę inauguracyjną „o wykształceniu politycznem" *). W tem przemówieniu, co do formy ślicznie wyrzeźbionem, bryznął w oczy wszystkim warstwom w Austryi zarzutem braku wykształcenia politycznego (rozumiejąc oczywiście te słowa nie w ograniczonem znaczeniu szkolnych podręczników historyi), zarzutem bardzo dotkliwym w państwie, gdzie przy zdumiewającym chaosie partyj i pełnej dziwactw konstytucyi znaczna część ludności poświęca bardzo dużo czasu i energii sprawom publicznym. Eksner zgromił zarówno tych, którzy się zachowują obojętnie wobec kwestyj społecznych, jak i tych, którzy idąc śladem Schäfflego, Lilienfelda i innych, wtłaczają na zasadzie nic nieznaczących analogij całą socyologię w ramy nauk przyrodniczych i na tych podstawach rozprawiają o sprawach społecznych.

„Żyjemy — powiada on — w czasach kwitnącego rozwoju przyrodoznawstwa, w okresie słabego wykształcenia estetycznego i lichego politycznego. W średnich klasach mieszczaństwa panuje przekonanie, że w sprawach społecznych wszystko jest możliwe i że trzeba tylko trochę dobrej woli ze strony sfer kierowniczych do przeprowadzenia najradykalniejszych reform. Takie zdanie jest zawsze nieomylnem świadectwem zupełnej ciemnoty politycznej. Wśród inteligencyi znowu, wykształconej na naukach przyrodniczych, napotyka się powierzchowne sądy, oparte na podobieństwie pomiędzy „ciałem społecznem" a organizmem zwierzęcym i na zastosowaniu terminologii, zapożyczonej z anatomii i fizyologii. Dosyć jednak wyobrazić sobie próbę odwrotną, dosyć przypuścić, że jakiś znający prawo medyk napisał podręcznik fizyologii, wzorowany na kodeksie cywilnym, w którym krążenie krwi porównane jest z obiegiem pieniędzy, trawienie nazywa się specyfikacyą, mięśnie i ścięgna—obligacyami, a całość— produktami organizmu ludzkiego, żeby pojąć, jak mało dopomódz może do wyjaśnienia i zrozumienia stosunków społecznych przełożenie ich na język medycyny. W drzwi XX stulecia — powiada Eksner — uderza nowy prąd całym szeregiem zagadnień społecznych, których z pomocą logarytmów albo busoli rozwiązać nie będzie można. Stoimy na progu dwudziestego stulecia, które będzie głównie społecznem, a kto chce dosięgnąć wysokości jego zagadnień, musi posiadać wykształcenie polityczne. Tutaj właśnie otwiera się szerokie pole działalności dla uniwersytetów. Obowiązkiem ich jest zaopatrzyć słuchaczy w tę zbroję duchową, której zażąda od nich ich stulecie. Przedewszystkiem profesorowie sami powinni mieć wzrok zwrócony ku przyszłości i wznieść się na wysokość rozległych widnokręgów. Wtedy może i wśród przyrodników obudzi się przekonanie, że po za tem, co można mierzyć, krająć i ważyć, jest jeszcze świat wielkości rzeczywistych, które zgłębić i opanować jest zadaniem również wzniosłem i ważnem, jak badać przyrodę. Oddzielnym fakultetom tej instytucyi, która się nazywa „universitas" brak obecnie łączącej nici duchowej. Przed laty była nią filozofia; ona wiązała pomiędzy sobą wszystkich słuchaczów na uniwersytetach niemieckich obok i ponad ich zajęciami specyalnemi. Za czasów Kanta, Hegla, Schellinga każdy słuchacz, bez względu na to, czy studyował medycynę, teologię, czy prawo, starał się przedewszystkiem o nabycie w audytoryach pewnego wykształcenia filozoficznego i jakiejś podstawy dla swych przekonań i poglądów. Ten żywy i powszechny udział w kwestyach filozoficznych zagasł oddawna, ale czyż ten tron ma pozostać opróżniony; czy nie należy bodaj w części to zainteresowanie, które budziły niegdyś zagadnienia metafizyki, wskrzesić i ożywić na rzecz politycznych urządzeń czasów teraźniejszych i społecznych zagadnień przyszłości? Ma się rozumieć, że chodzi tu nie o efektowne zajmowanie się bieżącemi kwestyami politycznemi, bo te zawsze zdala stać powinny od progu świątyni nauki, ale o oparte na szerokich podstawach wykłady spraw społecznych, ku którym zwrócić trzeba uwagę młodzieży, dać jej oprócz specyalnego także polityczne i społeczne wykształcenie i uzbroić ją do tych walk, które ją oczekują."

Mowa Eksnera, o której powyższy urywek ma dać przynajmniej słabe pojęcie, wywarła w najszerszych kołach bardzo silne wrażenie. Nie zaoszczędzono zresztą autorowi zupełnie nieuzasadnionego zarzutu, jakoby był przeciwnikiem wykształcenia przyrodniczego.

Wkrótce potem rektor uniwersytetu berlińskiego, astronom Forster, w bardzo zrę-

*) *Ueber politische Bildung*, Inaugurationsrede, Wien. Selbstverlag der k. k. Universität.

cznem przemówieniu podczas komersu na cześć Virchowa i Helmholtza przeciwstawił konserwatywno-junkierskim burszom i pochwalił tę część młodzieży, która rzeczywiście studyuje i idzie z duchem czasu.

Widzimy stąd, że na zachodzie w sferach bardzo kompetentnych coraz silniej wyraża się to przekonanie, że zbadać naczynia limfatyczne włosa albo napisać szereg komentarzy do hymnów *Rig-Vedy*, to nie znaczy jeszcze wypełnić wszystkie obowiązki, których społeczeństwo domaga się od inteligentnego obywatela.

Dr. M. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Edmond Rousse. *Mirabeau*. Paryż 1891.

„Biblioteka wielkich pisarzy francuskich,“ którą znamy z książki A. Sorela o p. de Staël, zbogaciła się nowem dziełem. Zwróciło ono powszechną uwagę, jako próba rehabilitacyi wielkiego trybuna, opartej na badaniach źródłowych pp. Lomenie *). Książka podzielona jest na trzy części, poświęcone rodzinie, życiu prywatnemu i publicznemu bohatera.

Mirabeau był nieodrodnym synem swego wieku, a może i najdoskonalszem skupieniem wszystkich jego cech. Niezależny myślą i spragniony wiedzy, był niewolnikiem swych namiętności, a chęć użycia przykuła go do najboleśniejszych i najplugawszych, zupełnemu zaś brakowi poczucia moralnego tworzyły szerokość natury i dobroć serca. W rodzinie widział ojca feodała z oschłą duszą, który dawał mu przykłady wielu zboczeń, matkę ujawniającą swe cudzołóztwa publicznie, jedną z sióstr obiegającą wielkie drogi z rycerzami przemysłu i nareszcie przykład rodzierających i skandalicznych procesów. Życie awanturnicze wprowadziło go w zetknięcie z najrozmaitszymi światami. Był kapitanem dragonów, dotarł aż do Wersalu, gdzie przyjmowano go narówni z największymi panami Francyi, grał następnie rolę dwuznacznie dyplomatyczną u dworu Fryderyka II, przeniknął do wyższego towarzystwa Londynu. Ale nieporządki życiowe i długi strąciły go wkrótce na najniższe szczeble społeczne. Fanciarze, lichwiarze, pokątni doradcy, bezimienni paszkwiliści, zamaskowani pamflecistarze, mieli w nim ofiarę, współpracownika i współwinowajcę. Wznoszony przez falę wypadków na szczyt popularności, to znowu strącony w odmęty pogardy publicznej, poznał ludzi gruntownie i dawał na każdym kroku dowody cynizmu i odrazy, jakiemi nauka ta go natchnęła. Jego sprzedajność i dwulicowość nie miały żadnych granic. „Point d'argent, point de Mirabeau“ — mawiali współcześni, a Kamil Desmoulins porównywał go do kokietki, która opierając nogi pod stołem o kolana dwóch zalotników, spogląda trzeciemu w oczy, od czwartego bierze tabakę do zażycia, a piątemu ściska rękę, pod pozorem obejrzenia koronki u mankietu — przyczem każdy jest przekonany, iż tylko jemu jest oddana. Żył na cudzy koszt — kobiety, bankiera, ministra — i to często jako gracz, rozrzutnik, człowiek awantur wyuzdanych i potwornych, był kilkakrotnie więziony i kilkakrotnie uciekał, porywając kobiety zamężne, rozumie się, wraz z majątkami. Nudy więzienia oszukiwał niekłamanym zapałem do nauki, który odziedziczył po ojcu, wraz z filozofią humanitarną XVIII w. Ateista z młodości, zupełnie i bez cienia fanatyzmu, ma jedno tylko bóstwo—rozum, w który wierzy całą siłą duszy, również, jak w szczęście powszechne, do którego ludzkość przy świetle rozumu postępuje. Przez temperament satyra i umysł sofisty przegląda u niego szczególna jasność poglądów i niezwykła potęga zmysłu praktycznego. A przytem pracował, jak wół: w młodości napisał kilkanaście tomów prac gruntownych ze wszystkich dziedzin polityki i ekonomii. Wstępując na arenę publiczną, był stanowczo bez współzawodnika pod względem nauki i znajomości ludzi. A ponieważ odznaczał się przytem wolą żelazną, więc nic dziwnego, iż przy ówczesnych burzliwych wypadkach wybuchnął naraz całą potęgą genialnego trybuna i agitatora mas; poczem stał się rozjemcą i jakby królem rewolucyi, traktującym jak potęga z potęgą, to z dworem, to z narodem. W poglądach teoretycznych jest w zupełności uczniem Montesquieu'go: pewna suma swobód zasadniczych i ścisły podział władz — oto jego doktryna, której bronił z wiekszą lub mniejszą systematycznością, mniej lub więcej uczciwie, ale zawsze bronił i to pierwszych z taką energią, iż uważany jest za głównego twórcę „Deklaracyi praw.“ Co do podziału władz, to panowie Loménie w tej właśnie teoryi upatrują klucz dla zrozumienia całego jego postępowania. Zaprzedając się dworowi, miał wrzekomo na widoku odbudowanie równowagi, którą władza prawodawcza naruszyła, odzierając wykonawczą z głównych jej przywilejów i systematycznie ją rozstrajając. Tłomaczenie takie, niepozbawione zresztą wielu cech prawdopodobieństwa, traci jednak wiele na wiarogodności wobec masy faktów, które każą przypuszczać, iż Mirabeau był tylko przedajnym szalbierzem, który służył swym pożądaniom, ale nigdy przekonaniom. Jest to zresztą jeszcze poniekąd kwestya sporna, a bądź co bądź nie może ona być rozstrzygnięta tak, jak tego chcą pp. Loménie. Przedstawmy główne fakty, które za tem zdaniem przemawiają.

Widzieliśmy, jak do lat czterdziestu Mirabeau naprózno szukał pola, na którem mógłby rozwinąć pełnię swych talentów i zdolności. Rewolucya dostarczy mu tego celu marzeń. Przedtem kołatał do najrozmaitszych podwoi, ofiarując swe usługi rządowi angielskiemu, pruskiemu, używając na przemiany prośby, postrachu, groźb. Ale nic mu się nie udawało: żył w nędzy, z wybiegów. Pisał dla ministrów, którzy mu ofiarowywali pieniądze przeciw innym, którzy mu ich odmawiali. Ta nędzna egzystencya o dwuznacznym charakterze wzbudziła w nim ostatecznie głęboką odrazę. Będąc płatnym pachołkiem, musiał często pisywać przeciw sumieniu i przekonaniom. Nic dziwnego, iż był nadzwyczaj zmęczony, a zarazem w najwyższym stopniu *novarum rerum avidus*. Jutrzenka nowej ery napełnia go otuchą; stara się on przyspieszyć zwołanie Stanów generalnych. Ale jak do nich wejść? Oczywista rzecz — z poparciom rządu, naprzód moralnem, a potem i materyalnem. Został wybrany. Do Stanów przybył z reputacyą opłakaną, przyjęto go szmerem niezadowolenia. Na dobitkę odepchnął od siebie rząd, napisawszy na dwór pruski paszkwil, spalony ręką kata. Skazany na bezczynność, kąsa wędzidło i stara się zmusić dwór, a zarazem i zebranie do liczenia się z nim. Stanąwszy odrazu w opozycyi rozróżnia między królem a ministrami. Tych nie szczędzi, o pierwszym mówi z wdzięcznością i szacunkiem: chce sobie zostawić furtkę otwartą i puszcza w ruch wszystkie sprężyny, aby go dwór kupił. Nareszcie po długich zabiegach Necker go przyjął, ale jak zwykłego prosiciela. „Słyszałem, że masz mi pan coś do powiedzenia.“ „Chciałem panu powiedzieć dzień dobry“ — odrzekł Mirabeau i wyniósł się. Tem objaśnia się słynne jego wystąpienie w kilka dni później, 23 czerwca, gdy po odmowie króla połączenia trzech stanów, odrzekł markizowi Dreux-Brézé: „Powiedzcie tym, co was przysyłają, że zgromadziła nas wola narodu i że rozpędzić nas można tylko siłą bagnetów.“ Miał tu na myśli nie króla, lecz ministrów, którym chciał pokazać swą potęgę, w tym też celu był pobłażliwy dla rozruchów, które wybuchły następnych dni, jakkolwiek niedawno przedtem pouczał, iż „anarchia musi doprowadzić z czasem do dyktatury i despotyzmu.“ Loménie objaśnia to słabością człowieka ambitnego: aby nie być opuszczonym przez tych, co szli za nim, stawał się wspólnikiem gwałtów, których nie pochwalał. Jest to raczej wybieg, niż słabość. Prawdopodobnie przyjmował też Mirabeau udział w nieporządkach 5 i 6 października, gdy lud szedł na Wersal, chociaż autor stara się go z pod tego zarzutu uwolnić. Wina tych dni ciąży na ks. Orleańskim, a chociaż głos publiczny dwa te imiona ściśle powiązał, nic bardziej niesłusznego. Najlepszym dowodem, iż Mirabeau nigdy nie służył polityce ks. Orleańskiego ma być to, iż nigdy odeń nie wymagał pieniędzy. Argument ciężki i zbyt pospieszny! Bądź co bądź, ten rojalista wywołał, jako agitator, potężne burze przeciw królestwu, ale odtąd, jako mąż stanu, starał się je, zdaniem Loménich, zażegnać. Szkoda tylko, iż kazał sobie słono płacić. Dwór, zagrożony tylu niebezpieczeństwami, nareszcie skorzystał z usług Mirabeau, które dotychczas pogardliwie odtrącał. Przyjęty potajemnie przez królowę, tęż samą królowę, którą d. 5 października denuncyował przed ludem, obiecywał jej, iż zbawi monarchię. Zapłacono mu 280 tys. długów i obiecano milion po skończeniu sesyi, tymczasem brał 6 tys. miesięcznie. Loménie uważa, iż ze wszystkich jego targów był to najuczciwszy, gdyż zgadzał się z jego przekonaniami. Ale któż tu może odróżnić przekonania od innych pobudek! Od tego czasu pisywał dla dworu po dwie noty tygodniowo i w nich rozwinął potęgę pierwszorzędnego męża stanu. Przyznaje, iż trzeba dążyć do odbudowania władzy wykonawczej, zniszczonej przez Zgromadzenie, ale żąda, aby król przyznał konstytucyę, jako fakt nieodwołalny. Oczywista rzecz, iż była to jedyna droga do zbawienia monarchii i Mirabeau prawdopodobnie dopiąłby celu, gdyby go posłuchano. Środków, jakie doradzał, nie wyrzekłby się pewno Machiawel. Niechaj urzędy rozdane zostaną jakobinom: to ich uspokoi. „Les jacobins ministres ne seraient pas des ministres jacobins. Tous, qu'on les nomme!“ On by z nich jeszcze przed Napoleonem porobił szambelanów. Następnie wymaga, aby prezydentura gabinetu oddana została Lafayette'owi, który był bardzo „décoratif,“ mając imię bez skazy, a po za tym parawanem wywierałby władzę. Środki jej działania miały być: nieograniczone demoralizowanie za pomocą pieniędzy i prasy oraz szpiegostwo. Ale wszystkie te plany rozbiły się o brak zaufania ze strony dworu, który, właściwie mówiąc, kupił go jedynie, aby go rozbroić. Jakie były istotne dążenia Mirabeau, trudno odgadnąć. La Marche — przyjaciel blizki — posądza go, iż szczędził swą popularność i nie chciał przyjąć jednej strony, dworu lub jakobinów, iż rezerwował się z zamiarem, aby w ostatniej chwili znaleźć się po stronie silniejszego. Umarł w chwili dogodnej, gdyż sława jego, jako człowieka politycznego, napewno by się wkrótce zaćmiła, ale wystąpił na scenę w chwili nieodpowiedniej: w r. 1816 lub 1830 byłby wielkim ministrem. A ponieważ nie chcemy bezpłodnem oburzeniem puszczać wody na młyn hypokrytów, więc powiemy, iż wobec innych łotrów, którzy wówczas władzę posiadali, był jej godniejszy. Ale nie dostąpił jej nigdy: pozostały mu powodzenia literackie, jakkolwiek dla człowieka tej miary musiała to być pociecha dziwnie gorzka. Był nie tylko genialnym mówcą, ale i pierwszorzędnym pisarzem. Nikt nie przemawiał pięk-

*) *Les Mirabeau* par MM. Lomenie, père et fils. Paryż 1891, tomów pięć.

niejszym językiem politycznym we Francyi. Niektóre myśli są jak wybite i mają kontury medali rzymskich. Możnaby sądzić, że to Cezar lub Sallustiusz. Był największym mężem stanu czasów rewolucyi: brzmi to dziwnie, gdy pomyślimy, iż człowiek ten przewodniczył towarzystwu Jakobinów, pokrywał kwiatami jego trybunów i jednocześnie denuncyował ich dworowi, był szefem demokracyi i jednocześnie płatnym radcą królowej. Ale czyż czasem mądrość nie mierzy się głębią zepsucia i przewrotności?

L. W.

ŚRODMUZ.

XII.

W Salonie Krywulta.

(Dokończenie).

Do prac młodych należy typ śmiejącego się trywialnie urwipołcia z Bawaryi, który z widocznem zamiłowaniem odrobił pan Saski. Obrazek weśnięty w odległy a ciemny kąt, mógłby śmiało zabrać jedno z lepszych miejsc, zaleca się bowiem godną uwagi starannością, która wszelako żadnej ujmy nie czyni szczeremu i naturalnemu wyrazowi twarzy. Tak samo na pewne wyróżnienie zasługuje, zdaniem naszem, drobiazg p. Aksentowicza, przedstawiający kobietę, która oparłszy się o szlaban kolejowy, uśmiecha się do kogoś. Nie więcej to nad fragment, ale prawdziwy i w kolorze przyjemny. Pana Szyndlera pejzażyki mają tę dobrą stronę, że zacierają niesmak, sprawiony przez jego albanesy i tym podobne odmiany gazeli czy sarny, podawane z mdłą przyprawą za południowe i wschodnie typy. Nieduże płócienko p. Badowskiego, w którem dwie marząco usposobione rzymianki z zachwytem wpatrują się w krajobraz nocny Kampanii, nęci niewymuszoną poezyą.

Od czasu do czasu p. Krywult lubi sprowadzać utwory zagraniczne, za któremi właściwie nie przemawia nic, prócz chyba okoliczności, że autorzy ich pragnęliby je zbyć korzystnie. W obecnej oto chwili wpada w oko sążniste płótno Scholtza: „Powrót górali ze szczytów alpejskich." Nie jest to rzecz zła, ale i nie wiele wznosi się nad mierną przeciętność. Główne jej zalety polegają na nieszablonowym układzie, w którym dominują śmiało oryginalnych kształtów wyniosłości, dalej dwa na nich niewielkie refleksy zachodzącego słońca, naprawdę odległe i majaczące pożegnalnym blaskiem, wreszcie chłopiec z wyborną twarzą twardego i ostrego typu, koloru ziemi, otwierający pochód tryumfalnym krzykiem czy śpiewem. Do tych momentów chwalebnych zaliczyćby jeszcze można górala, odwróconego plecami, zgiętego bardzo dobrze pod ciężarem tłomoku, na którym należycie układa się przykrywająca go cuha. Reszta postaci uderza przesadą i gwałtowną chęcią ożywienia motywu. Jeden, niezły w swym teutońskim typie, śmieje się szeroko i nabiera wyrazu idyotycznego chyba wbrew intencyi malarza, jest to bowiem zwykły sztuczny śmiech średnich artystów; inny znów wyprawia ewolucye całkiem zagadkowe, nie wiadomo bowiem czy jest pijany czy też tak mozolnie opiera się na kiju, mimo że teren nie przedstawia żadnych szkopułów. Obraz ma perspektywę dobrą i powietrza dosyć, ale zdradza zupełną niemoc kolorystyczną. Dziwnem jest zaciągać trawę brudną, posadzkową farbą wówczas gdy niebo nie straciło jeszcze nic ze swego błękitu. Wogóle zieleń tu jest tak przyćmioną, jakgdyby, dajmy na to padał na nią mrok od gór, odległych o całe mile. Znamy dosyć dobrze Alpy, ale nigdzie podobnej zaprawy nie udało nam się spotkać.

Tuż obok „Wesoły utracyusz" Maksa Pietschmanna — stek zagadek w jednej. Młody człowiek z twarzą polskiego kmiecia, jeno wydelikaconą trochę, gra w kości z jakąś wesołą córą Grecyi i wzrokiem miłośnie-apatycznym spogląda na jej towarzyszkę, która pieszczotliwie się do niego tuli. Na drugim planie u wejścia do pieczary, żołdak rzymski objąwszy ramieniem turczyna, zatacza się z nim razem pod wpływem „boskiego trunku." Czarny rzezaniec znosi smakołyki. Stara żydowica z ostrym profilem wiedźmy i „starozakonny," ubrany jak handlarz podwórzowy, oraz kilka jeszcze mniej wyrazistych figur dopełniają grona. Co ta wieża Babel strojów, epok, twarzy i plemion ma oznaczać, jakim volapükiem porozumiewają się tutaj dobroczyńcy ludzkości z ofiarami itd. nie probujmy nawet odpowiedzieć. Jest to jeden z pospolitych dosyć okazów malarstwa, w którem gwoli starannie oddanego sztafażu i gwoli łatwości w malowaniu natury i przedmiotów martwych dorabia się fabułę. U Pietschmana dzieje się tak samo. Akcesorya, szaty, owoce, naczynia są jak modelowane. Więcej nawet: dziewczyna pełzająca po szyi i piersiach bułaki, jakgdyby od wyniku gry jej los należał, jest w wygięciu swem miękka i w całej figurze plastyczna. Pod odzieżą lekką i dobrze sfałdowaną czuć prawdziwe ciało, ale wszystkie te zalety pojedynczych motywów nie okupują śmieszności w całej kompozycyi. Nie pomaga tu nawet jeden bardzo dobrze uchwycony i odtworzony motyw światła, które padając z bocznego okna obejmuje grzbiet łaszącej się huryski i rzuca pod stół parę jasnych plam. I ta jednak technika, skąd inąd lepsza, przywodzi na myśl smutnej pamięci obraz Boucharda, który wisiał na tem miejscu przed rokiem (Niemi w seraju). Prawa bowiem część malowidła jest całkiem płaska i stłoczona, cera utracyusza brzydko zwiotczała, czerwona linia na ręku hetery niewytłomaczona itp.

Co innego płótna Van Hove'a. Jest to naśladowanie dawnych holendrów, pracowite, subtelne, pełne charakteru. Jejmość modląca się grzeszy może nawet przesadą w wykończeniu, wskutek czego wiele szczegółów, jak np. złoty łańcuszek na szyi i złoty haft na czarnym adamaszku nikną w normalnej odległości. Twarz sama przypomina słynne głowy Dennerowskie wirtuozyą roboty. Jest to żywa, gładka, niemłoda skóra ze światłocieniem wybornym. Wogóle portret ten pociąga stylowością i doskonałą skupioną, pewną ekspresyą. Sąsiadująca z nią babula, która cedzi jakiś płyn, również odznacza się wyśmienitym charakterem, wyrazem i ruchem. Ta znów przypomina holenderskich alchemików, płótna Van Hove'a, Terburga itp.

Ponad te wszystko jednak wolimy dwa dzieła swojskie, stanowiące dzisiaj główną ozdobę salonu Krywulta. Pierwszem jest portret pędzla Pochwalskiego, mistrzowski pod względem siły i charakteru. Niepodobna lepiej oddać wyniosłości i buty mężczyzny rozrosłego, prawdopodobnie panka, pół-panka lub dygnitarza. Stanowczość spojrzenia, krzepkość, swoboda ruchów, pełnia zdrowia fizycznego przy siwych wąsach — tryskają po prostu z płótna. Pochwalski nie goni za cudactwem tła (jak np. p. Masłowski lub Piątkowski), maluje czarne na czarnem iześrodkowywa się cały w głowie, której rysunek, a osobliwie wypukłość są wzorowe. Zarzucićbyśmy mogli jedynie, że o ile wydatnym jest typ, o tyle mało pochwytnym wyraz indywidualny, a to skutkiem nadmiernego ukrycia się wzroku pod nasuniętemi powiekami. Lenbach by tak oczów nie usunął na plan drugi.

Dla uwieńczenia tego zwięzłego przeglądu słówko o najświeższym obrazie panny Dulębianki „Chloe." Krótko i węzłowato powiemy: ładny. Czy całkiem oryginalny? Nie — pożyczony, najniewątpliwiej w świecie, od Arnolda Böcklina. Podobno artystka bawi obecnie w Monachium. Widocznie tedy skusił ją ten dziwny geniusz romantycznego klasycyzmu i potężnego koloru; nie trudno nawet wskazać bliżej wzór — jest nim „Pan" grający na flecie i zanurzony w wysokiem i zielonem sitowiu (wisi on w drugim pokoju Nowej Pinakoteki). Chloe dla odmiany gra na fujarce, nad jeziorem, na tle lasu, wypełnionem silnem, może nawet za silnem światłem zieleni. Na tle tem przedziwnie wypukła, mięsista postać nimfy rysuje się i malowniczym konturem, pełnym realnej, nieidealizowanej prawdy i tworzy z niem pyszną grę kolorów. Poezya Böcklinowska ocalała; znalazł się i jego silny i pełny ton i nastrój i nawet większa sumienność w robocie. „Chloe" podbija widza odrazu, a wiedzieć trzeba, że mistrz bazylejski do zrozumienia, odczucia i naśladowania jest trudny. Stuck, monachijczyk, niedołężnie parodyuje go, a i za to nawet dostaje medale. Ale Dulębianka stanęła na wysokości zadania, bo i swojego ja nie zaparła się, czego dowodem choćby ulubiona ręka-badyl jej modelki...

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 1 grudnia.

Brak uporządkowanych stosunków handlowych nie pozwala dziś na wyzyskanie korzyści, płynących z rolnictwa, na które wyłącznie kraj nasz jest skazany. Obroty tego rodzaju spoczywają w rękach żydowskich. W ostatnich dopiero czasach sięga po łokieć i miarkę wydelikacona dłoń szlachecka. Równocześnie ze spekulacyami naszych posłów na giełdzie wiedeńskiej zarysowywa się pierwsza organizacya handlu pod kierunkiem rodowców. Obok ks. Sapiehów, którzy pierwsi w Galicyi wystąpili na tem polu, stają ks. Lubomirski, ks. Sanguszko, ks. Czartoryski, hr. Potocki, hr. Badeni, hr. Siemieński-Lewicki, hr. Tarnowski, Abrahamowicz razem z dyrektorami banków, jako założyciele instytucyi pod firmą: „Galicyjskie akcyjne Towarzystwo handlowe." Celem jej, według zatwierdzonego przez rząd statutu jest: wspieranie handlu w Galicyi i zjednywanie mu nowych dróg zbytu, tworzenie spółek kupieckich i wogóle rozwinięcie czynności hadlowych dla podniesienia produkcyi krajowej. W szczególności zaś zadaniem Towarzystwa będzie: kupno i sprzedaż surowców tudzież towarów na rachunek własny lub komisyjny; zajmowanie się dostawami dla państwa, krajów, powiatów lub gmin, jak niemniej dla firm miejscowych i zagranicznych; organizowanie i prowadzenie spółek producentów dla korzystniejszego zbytu ich materyałów i przetworów, zakładanie bazarów, agencyj i biur komisowych dla sprzedaży wyrobów przemysłu krajowego; urządzanie domów akcyjnych, składów, wzorowych wystaw, pośrednictwo w sprawach handlowych, celnych i taryfowych; udzielanie zaliczek na produkty i towary i t. d. W jednym dniu zabrano 500,000 złr. przez wydanie 500 akcyj (każda po 1,000 złr.). Kapitał ten ma być podwyższony do sumy 2,500,000 złr. Pierwsze zgromadzenie zagaił Marchwicki, znany tu zausznik namiestnika, temi słowy: „Zaprowadzić w kraju naszym normalne warunki handlu, stając się łącznikiem z ogólno-światowym ruchem, otworzyć dla produkcyi naszej szersze pole zbytu, oto cel, do którego dążyć zamierzamy, powołując do życia projektowaną instytucyę. Jest ona zbliżona za-

kresem swoim do węgierskiego Towarzystwa handlowego, a znajduje przez udział krajowego funduszu przemysłowego tę tyle cenną, a spodziewać się można i skuteczną opiekę naszej najwyższej władzy autonomicznej, w zamian też za to obowiązkiem będzie przyszłych kierowników Towarzystwa handlowego pamiętać, że stoją na czele instytucyi, której zadaniem: pozostać zawsze *nawskróś krajową* (tj. wyłączyć żydów) i stać się wzorem kupieckiej rzetelności i punktualności. Hasłem Towarzystwa handlowego być powinno: Nikomu nie szkodzić! Wielu pomagać! Krajowi służyć!" Z pięknemi hasłami jużeśmy się otrzaskali i patrzymy spokojnie na ich urzeczywistnienie. Otóż śledząc za pierwszymi krokami niemowlęcia, którem się tak gorliwie zaopiekowały najwyższe instytucye, a nawet rząd, widzimy już w pierwszych zakusach szlachecko-kupieckiej spółki groźne dla kraju następstwa. Mam tu na myśli organizacyę handlu solą, po którą wyciąga chciwą rękę nowa spółka. W sprawie tej ogłosił już swoje uwagi T. Merunowicz, w których godzi się już na przyznanie pewnego rodzaju wyłączności w sprzedaży soli Towarzystwu, a przemawia tylko za tem, ażeby zarząd tej instytucyi zaraz w tym pierwszym interesie swoim, bardzo doniosłym dla kraju, a nawiasowo mówiąc, także bardzo zyskownym pieniężnie, nie kierował się wyłącznie względami „geszefciarskimi" i nie usuwał elementu obywatelskiego od współudziału w przedsiębiorstwie. Zrozumieć jednak nie możemy, dlaczego organizacyą sprzedaży soli nie ma zająć się kraj jako instytucya, ale akcyjne Towarzystwo prywatne, którego zyski pójdą na dywidendę i które nie potrzebuje liczyć się ze względami publicznymi w urządzaniu swoich interesów? Zupełnie podzielamy obawy, wypowiedziane przez p. Merunowicza co do niebezpieczeństw, jakie zachodzą w zamiarze usunięcia żywiołu obywatelskiego od wpływu na sprzedaż soli. Interes ten, który najgłębiej wnikać pozwala w masy ludowe, zasługuje na wszechstronny rozbiór. W ogłoszonym prospekcie Towarzystwa, które od nowego roku otwiera swe biura, znajduje się ustęp, zdradzający zamiary jego inicyatorów. Handel solą ma w naszych stosunkach o wiele donioślejsze znaczenie, niż sięga rachunek wyłącznie kupiecki, ponieważ ten, kto na wsi będzie miał w ręku wyłączną sprzedaż soli, zdobędzie szeroko otwartą drogę do opanowania wielu innych i to bardzo ważnych gałęzi życia wiejskiego. Sól już sama przez się jest cennym artykułem handlowym, gdyż wartość rocznego jej spożycia dosięga milionów i nikt nie może się bez niej obyć. Dziś jest obciążona do wysokości bezczelnej lichwy prowizyami spekulantów hurtowych i przekupniów, zajmujących się drobiazgową sprzedażą. Nie zapominajmy, że już z tytułu monopolu tkwi w cenie fiskalnej każdej topki soli przeszło siedem centów podatku spożywczego. Przez dotychczasowe obciążenie handlu solą zbyt wielką ilością pośredników, cena jej podnoszona bywa po raz wtóry do miary nieraz zupełnie dowolnej. Wydział krajowy stara się, ażeby Radom powiatowym i magistratom miast większych wyjednać pewną „ingerencyę" na drobiazgową sprzedaż soli. Stanowi to zasługę nieboszczyka ks. Leona Sapiehy, iż przez zabiegi osobiste w Wiedniu udało mu się wyjednać przecież pewne „ustępstwa" w tym kierunku. Owe ulgi jednak, obwarowane mnóstwem formalności i środków kontroli, uniemożebniają urządzanie gminnych i powiatowych składów ze stałą i możliwie obniżoną ceną sprzedażną soli wskutek konkurencyi prywatnych spekulantów. Najdalej sięgająca zniżka cen przez takie urządzenie sprzedaży, ażeby we wszystkich okolicach kraju przez cały rok niezmiennie, tj. bez względu na stan powietrza i dróg — zawsze była cena topki jednakowa i niedroga, oto — jeżeli się tak wyrazić wolno — nasz ideał organizacyi handlu solą. W praktycznym języku wyraża się to urządzeniem trafik solnych ze stałą i zawsze równą ceną i poręczeniem za jakość towaru. Jakżeż daleko nam do tego ideału! Komisyi rolniczej Izby poselskiej Rady państwa nastręczyła się w tym tygodniu sposobność do przeprowadzenia wyczerpującej rozprawy nad kwestyą soli. Jak zawsze, tak i w bieżącej sesyi Rady państwa napłynęły stosy petycyj z rozmaitych okolic o zniżenie cen soli, o zaprowadzenie sprzedaży jej dla bydła, o życzliwsze traktowanie ze strony rządu fabrykacyi nawozów sztucznych, tudzież użytecznych w przemyśle przetworów, których część składową stanowi sól. Oceniając praktyczną ważność reformy zarządu monopolu solnego dla ogółu ludności, a w szczególności dla rolników, opracował poseł Wielowieyski na tle owych petycyj ten przedmiot, rozważywszy zarówno podstawy zasadniczo monopolu solnego, jak i wchodzące w ten zakres urządzenia szczegółowe. Stwierdzając na wstępie doniosłość finansową, jaką ma dla skarbu monopol solny w Austryi (w budżecie na rok 1892 preliminowany jest dochód z tego źródła na 17,820,000 złr.), przeprowadza on porównanie urządzeń monopolu austryackiego z traktowaniem tej kwestyi w innych państwach i wykazuje, iż wszędzie, gdzie tylko sól uważana jest za przedmiot, który przynosić ma dochód skarbowi publicznemu, zarząd tego dochodu uwzględnia bez porównania więcej potrzeby i dogodność ludności, niż to czyni administracya monopolu w Austryi, skostniała w bezmyślnym formalizmie biurokratycznym. Nie ma w Europie drugiego państwa, gdzie zresztą sam wymiar tego podatku, z natury swej niesprawiedliwego, krzywdzącego szczególniej uboższe warstwy ludności, byłby tak wysoki, jak w Austryi. Topka, która waży jeden kilogram, kosztuje w żupie dziewięć centów. A gdy koszta produkcyi kilograma wynoszą w przecięciu jednego centa, przeto okazuje się, iż w cenie fiskalnej każdej topki soli zawiera się podatek na rzecz państwa w wysokości ośmiu centów! Wiadomo zaś, iż ludzie zamożniejsi, którzy w potrawach używają korzeni, cukru i innych przypraw, tem samem mniej spotrzebowują soli; podczas gdy ludzie ubożsi, zwłaszcza ci, którzy ograniczać się muszą na żywności roślinnej, z fizyologicznych powodów muszą używać dużo soli. Wynika stąd, iż wielki pan, którego środki pozwalają łożyć na swoją osobę, ile mu się podoba, mniej płaci podatku od spożytej soli, niż ubogi wyrobnik, który przez cały rok żywi się polewką mączną, kartoflami lub chlebem bez omasty; gospodarz lub rzemieślnik, którzy utrzymują po kilkoro czeladzi, więcej płacą podatku od soli, niż bankier, któremu do obsługi kantoru wystarcza kilku hojnie płatnych i zbytkownie żyjących urzędników. O ileż bardziej dotkliwym musi być ten tak rażąco niesprawiedliwy podatek pogłówny w rękach ciężkiej, małodusznej, nieporadnej administracyi! Bardzo przekonywująco cyframi wykazuje to poseł Wielowieyski, że zarząd i produkcya soli w Austryi jest stosunkowo najkosztowniejsza, a zacofana i niedbała o wszelaki postęp, jak nigdzie w Europie. Każda nowość, chociażby najbardziej racyonalna i w innych krajach z najlepszym zastosowywana skutkiem, wprawia matadorów monopolu solnego w gorączkę i przerażenie. Szczegóły, ilustrujące bezmyślność monopolu solnego, które przytacza ten poseł z objektywnością, jaka jest niezbędna w akcie mającym stanowić podstawę dyskusyi parlamentarnej, są istotnie zdumiewające. Dość powiedzieć, iż nawet Portugalia wypiera sól austryacką z targów w cesarstwie ruskiem, chociaż z Portugalii podobno trochę dalej do was, niż z Galicyi! Niemniej szkodliwe jest zachowanie się zarządu solnego wobec rolnictwa — mianowicie wobec domagania się gospodarzy, ażeby uczyniono sól przystępniejszą dla hodowli bydła i... ludzi. I ta strona dotyka najdotkliwiej nasze włościaństwo biedne. Charakterystyczne jest oświadczenie ministra Steinbacha. Na zapytanie posła Włodzimierza Kozłowskiego, jak rzecz stoi ze zniżeniem cen soli, które stanowią podatek pogłówny i najbardziej krzywdzący uboższe warstwy ludności, oświadczył minister skarbu, że nie przyszło jeszcze w tej sprawie do układów z Węgrami, ale że on „mówił już" o tem z węgierskim ministrem skarbu. Poprzednik dr. Steinbacha, Dunajewski miał zabobonny respekt przed rokowaniami z Węgrami — tak dalece imponowała mu ich żyłowatość i bezwzględność na punkcie rachunków z Austryą. Więc gdy powiedział o jakiejś sprawie, że „wymaga ona porozumienia z Węgrami," znaczyło to tylo, iż można było o niej pisać na Berdyczów...

Czy dr. Steinbach będzie miał więcej odwagi i więcej szczęścia w rokowaniach z Węgrami, przyszłość to okaże. Mało jednak mamy nadziei, ażeby wskórał on cokolwiek u madziarów. Cena sprzedażna soli w magazynach musi być jednakowa w obu połowach monarchii, lecz węgrzy mogą ciągnąć po za monopolem znaczne korzyści ekonomiczne dzięki ustawie o ulgach w celach przemysłowych i rolniczych. U nas takiej ustawy nie ma. Dzieje zaś małodusznego, lękliwego postępowania rządu wiedeńskiego w kwestyi kainitu kałuskiego dowodzą, że dotąd w sprawach eksploatacyi olbrzymiego bogactwa przyrody naszego kraju decydują nie ogólne względy ekonomiczne, lecz ślepy fiskalizm, zaostrzony do najwyższego stopnia biurokratyczną formalistyką. Na uwagę zasługują jednak słowa p. ministra w sprawie urządzenia prywatnej sprzedaży soli po za magazynami żupnymi. Oświadczył on, iż poczytuje to za pożądane, iżby spółki interesantów i korporacye autonomiczne zajęły się tą kwesyą i że w tym względzie mogą liczyć na wszelką życzliwość z jego strony. Jest to rzecz ważna. Roczna konsumcya w naszym kraju wynosi około 40,000,000 kg. Jeżeli przeto racyonalna organizacya drobiazgowej sprzedaży soli zniżyłaby jej cenę np. o centa na topce kilogramowej, równałoby to się zaoszczędzeniu ludności krajowej wydatków o 40,000 złr. rocznie. Według ogłoszonego prospektu, wchodzące w życie akcyjne Towarzystwo handlowe we Lwowie ma zająć się przedewszystkiem interesem solnym i jak wieść niesie, założyciele tej instytucyi uzyskali już podobno u rządu daleko sięgające przyrzeczenia. Obawiamy się, ażeby sprzedaż soli, wydarta z rąk lichwiarskich, nie wpadła w kleszcze spekulantów szlacheckich. *Beta.*

LIBERUM VETO.

Uczczenie Mozarta. — Niezależność wielkich utworów muzycznych od wykonania. — Zbytek ludzkości. — Na co jej geniusze? — Muzykalność Warszawy. — Pogrzeb. Tatarkiewicza. — Wypłata sławy aktorom. — Proces o unieważnienie testamentu Walewskiego. — Obrona prezesa zarządu Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu. — Dom rodzinny a instytucya publiczna.

Uczczono tedy i u nas Mozarta w setną rocznicę jego śmierci aż trzema wieczorami: w teatrze, Towarzystwie muzycznem i Muzeum przemysłowem. Byłem świadkiem obchodu teatralnego, ale co widziałem, a raczej słyszałem, tego wam nie opowiem.

Ci, którzy słyszeli „Requiem" lub „Don Juana" w wykonaniu dobrem lub doskonałem, mogli na wieczorze sobotnim załamywać ręce lub śmiać się do rozpuku. Czy jednakże opera nasza mogła przy swoich siłach wystawić oba te dzieła lepiej? Pierwsze — tak, drugie — nie. Rzeczywi-

ście chóry tak odkrzyczały słynną pieśń żałobną, jak gdyby miały szlachetny zamiar zbudzenia Mozarta w grobie; ale „Don Juana“ odśpiewano według sił. Ani pan Chodakowski, ani panie Dowiakowska i Lewicka na nic lepszego w tych rolach się nie zdobędą. Więc, słusznie westchnąwszy, trzeba przedewszystkiem pochwalić dobre chęci dyrekcyi i artystów. Zresztą nie skrzywdzili oni zbyt publiczności warszawskiej. Im utwór teatralny jest większy, tem mniej zależny od wykonania. Dajcie zwyczajną farsę do odegrania lichym aktorom, zrobią z niej rzecz obrzydliwą. Tymczasem nie ma tak złych aktorów, którzy by głosami swymi starli wszystką piękność z opery Mozarta. Cokolwiek bowiem z niej wydobędą, pozwolą nam odczuć niewysłowiony urok. Brakującą resztę „czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa,“ skoro mu tylko potrącą w niej struny najmniejszem przypomnieniem. Na przedstawieniach zaś oper Mozarta bywają tylko „czuli słuchacze.“ Wszędzie i po wszystkie czasy ogół nie wielbił i nie potrzebował geniuszów. Gdyby chodziło wyłącznie o masę, możnaby najzupełniej uwolnić naturę od wysiłków w stwarzaniu ludzi nadzwyczajnych. Jeżeli zważymy, że największy człowiek w dziedzinie muzyki żył jak wyrobnik, a umarł jak nędzarz; że w okresie najwyższej swej potęgi był przedmiotem szyderstw lilipucich; że nie mógł zdobyć skromnej posadki, która by mu dała możność spokojnej pracy; że ciało jego wrzucono do wspólnego grobu, a miejsca nie odznaczono nawet zatkniętym na mogile patykiem; że nikt nie odprowadził jego zwłok „z powodu szarugi“ i „sensacyjnych wiadomości o wypadkach we Francyi“; jeżeli dalej uprzytomnimy sobie, że po stu latach ten sam człowiek, kiedy już jego wielkość uznano, nie zdoła napełnić teatru w Warszawie, co się udaje zwyczajnemu błaznowi, to można zapytać: po co Mozarty się rodzą? Czyż by nam nie wystarczyli: Offenbachy, Suliwany, Millöckerzy, no wreszcie Verdiowie? Geniusz jest stanowczo zbytkiem ludzkości, bo nie odpowiada jej potrzebom i służy zaledwie drobnej garstce istot wyborowych, których wymagania nie stanowią nigdy reguł dla życia, wyprowadzonych z upodobań większości. Do wniosku tego dochodzimy bardzo często w Warszawie, zwłaszcza wobec arcydzieł muzyki. Ma to być miasto bardzo muzykalne i rzeczywiście trudno znaleźć mieszkanie, w którem są dwa wyściełane krzesła, gdzie by nie było fortepianu — męczonego rano, w południe, wieczorem, w nocy. Ale naszym gustom dogadzają tylko takie melodye, które wpadłszy uchem do głowy i serca, nie zatrzymują się w nich, lecz po nerwach zbiegają niżej i wprawiają w ruch nogi. To dopiero jest sztuka, dla której przepełniamy teatr. Symfonia „Jupiter,“ „Requiem,“ „Don Juan“ są to dla nas ładne rzeczy, ale nudne. Co to za muzyka, która nie przypomina oświetlonego salonu, fraków i sukien balowych, potu tanecznego, wreszcie kolacyi!

Więc boski mistrzu, ty czarodziejski śpiewaku, któremu Apollo rzuciłby swą lirę pod nogi, cudzie ludzkości, duszo z nieba krótko na ziemi gosząca, nieśmiertelny Mozarcie, po co ty między nas się zamieszałeś? Może słuchając twojej muzyki drżą w roskosznem upojeniu drzewa, skały, wody, cała natura, ale ludzie po za gromadką dusz wrażliwych pytają się od stu lat: czego ty chcesz od nich? Nie jesteś ani ich słowikiem, ani Tyrteuszem.

Duch Tatarkiewicza nie może się skarżyć na brak żalu i uznania: pomimo słoty ciało jego odprowadziły na cmentarz tłumy. Spocznie ono pod pomnikiem, który ma być postawiony kosztem wielbicieli. W trzydzieści lat dopiero po śmierci Mozarta zaczęto poszukiwać jego kości, a słynny anatom Hirtl miał odnaleźć jego czaszkę. Naturalnie może to być równie czaszka wielkiego muzyka, jak wiedeńskiego nosiwody, który z nim spoczął we wspólnym dole, a jeżeli są naiwni, którzy w jej autentyczność wierzą, to chyba dla oszczędzenia potomnym bodaj odrobiny wstydu. Nic podobnego nie zdarzyło się nigdy i nie zdarzy się z żadnym znakomitym aktorem. Wszyscy oni pogrzebani zostali przy licznych orszakach i w odznaczonych miejscach. Wprawdzie czas, zdmuchując ogień życia, gasi jednocześnie blaski ich chwały, ale są to jedyni bohaterzy, którzy nie mogą narzekać na niewdzięczność ludzką i odbierają całkowitą sumę sławy. Skoro tylko osiągną rozgłos, nie tracą go już do śmierci, nie umierają zapomniani i lekceważeni. Innym ludziom uznanie sączy się, nieraz przez długie wieki, kroplami; im bucha ono szeroką falą. Niewiele jest w naszej literaturze i sztuce jednostek znakomitych, po których smutek wyrównałby żałobie po Tatarkiewiczu, a wątpimy, czy ktokolwiek z żyjących wstąpiłby do grobu tak tryumfalnie, jak Żółkowski. Na niebie naszem najjaśniej świeci konstelacya gwiazd aktorskich, która zaćmiewa wszystkie inne. Tatarkiewicz nie był pierwszorzędną, ale należał do większych. Spostrzeżemy to wkrótce, gdy w repertuarze wystąpi ciemny punkt, spowodowany jego brakiem. Nie jestem wyznawcą kultu aktorskiego, łączę się jednak z ogólnym żalem po stracie Tatarkiewicza i tych znakomitych artystów naszej sceny, którzy go niedawno poprzedzili, tem bardziej, że ich następcy i zastępcy są przeważnie odrostkami po zwalonych dębach.

Proces o unieważnienie testamentu Walewskiego został zwekslowany na inny tor — z sądu cywilnego przeszedł do karnego. Wyrok więc co do mocy prawnej zapisu pozostaje w zawieszeniu i zależyć będzie od rozstrzygnięcia sprawy ze strony kryminalnej. Droga ta była nieunikniona. Świadkowie bowiem złożyli zeznania tak obciążające pozwanych, że sprawiedliwość musiała się zająć już nietylko rozpoznaniem pretensyj spadkowych, ale także oskarżeń moralnych. Jeżeli zmarły rzeczywiście nie mógł podpisać testamentu, jeżeli wyzyskano jego bezprzytomność, jeżeli popełniono cały szereg nadużyć, w takim razie chodzi już nietylko o to, komu ma dostać się jego majątek, ale również o ukaranie wykroczeń. Pomimo że proces ten nabrał już dziś szerokiego rozgłosu, społecznie — jak zauważyliśmy dawniej — ma on znaczenie jedynie objawowe, jako znamienny moment zażartej walki o pieniądz. Ten straszny demoralizator świata, niszczyciel uczuć szlachetnych, doradca wszelkich zbrodni, odegrał tu także swoją rolę, którą właśnie sąd ma określić. A ponieważ ze stanowiska interesu ogólnego obojętnem jest, kto odziedziczy spadek po Walewskim, więc doprawdy wolelibyśmy, ażeby ocean podłości ludzkich nie wchłonął w siebie nowego dopływu i ażeby ze sprawy karnej okazało się, iż zarzuty co do sfałszowania testamentu są bezzasadne. Za dużo wkoło nas rozlewa się złego, ażebyśmy mogli go pragnąć.

Z tej samej racyi wolałbym, ażeby oskarżony przez p. Turskiego zarząd Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu był niewinny. Nie zdaje mi się jednak, ażeby tego dowiódł p. Gniazdowski w *Kuryerze warszawskim* nawet co do p. Przyłubskiego. Sama bowiem „długoletnia i gruntowna znajomość charakteru,“ chociaż niewątpliwie daje podstawę dla przypuszczeń, nie daje jej dla stanowczych twierdzeń. Tymczasem według p. G., który — jak sam wyznaje — stoi po za Towarzystwem, pan Przyłubski, jako prezes tej instytucyi, mógł tylko „pobłądzić,“ a p. Turski „nieskazitelny jego charakter usiłował splugawić.“ Oba te rzuty słów sięgają po za granice krytyki sprawiedliwej. Nie przeczymy, że p. P. jest człowiekiem uczciwym, ale nawet ludzie najzacniejsi na stanowiskach zwierzchniczych bywają słabi, pobłażliwi dla cudzych przewinień, kryjący nadużycia, które przynoszą szkodę i ujawnione być winny. Jeżeli prawdą jest (mówimy to na odpowiedzialność p. Turskiego), że prezes Towarzystwa wiedział o matactwach bilansowych, a wszelkimi sposobami zapobiegał im, przeszkadzał w sprawdzeniu inwentarza, zawieszał zbyt skrupulatnego dyrektora w urzędzie, to takiego postępowania nie można nazwać zwykłą „omyłką“ lub „błędem,“ zwłaszcza gdy za dozór nad prawidłowością działań administracyi pobiera się kilka tysięcy rubli pensyi. Ile razy tego rodzaju sprawy zostaną publicznie podniesione, zawsze odzywa się napomnienie, że „brudną bieliznę prać trzeba w domu.“ Ależ Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu, oparte na udziałach sprzedawanych każdemu z obiegiem papieru procentowego i mających skupić w sobie całą produkcyę ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, nie jest żadnym „domem,“ żadną „rodziną,“ której „brudna bielizna“ mogłaby być prana w ukryciu. To jest stowarzyszenie publiczne i musi być kontrolowane przez ogół. Wolno p. X. tolerować wykroczenia swego własnego ekonoma, ale nie wolno temuż p. X. jako prezesowi zarządu instytucyi patrzeć przez szpary na działanie podwładnych. Mylą się więc zwolennicy owych „rodzinnych prań,“ zaprzeczający dziennikom prawa wtrącania się w takie zatargi. Prawa tego nie odbierze nam żadna deklamacya, żaden interes prywatny, we wszelkich wypadkach, wiążących go z publicznym, którego my z obowiązku i zadania bronimy.

Poseł Prawdy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum wojny zwróciło się do oddzielnych pułków z zapytaniem, czy nie byłoby możliwem zmniejszenie codziennych racyj żołnierskich o pół funta. Natomiast ministeryum proponuje wydawanie pieniędzy.

— Ministeryum skarbu ostatecznie opracowało projekt reformy, obowiązującej obecnie ustawy emerytalnej na następujących zasadach: całkowita emerytura wydana będzie po 40-tu latach, z warunkiem, aby pobierający ją miał przynajmniej lat 60. Pół emerytury nie będzie. Natomiast urzędnik, opuszczający służbę z powodu słabości zdrowia, otrzymywać będzie emeryturę w stosunku do lat wysłużonych (począwszy od 10-ciu).

— *Warsz. Dniew.* donosi, iż piotrkowska komisya do spraw fabrycznych na posiedzeniu 30 z. m. rozstrzygała kwestyę, czy przepisy porządku wewnętrznego, pomieszczone w książeczkach obrachunkowych robotników i wywieszane na ścianach fabryk, mogą być tłomaczone na język polski i niemiecki. Komisya orzekła, że przepisy te obowiązkowo muszą być drukowane w języku ruskim, jako państwowym, fabrykantom zaś i właścicielom zakładów wolno drukować także polski tekst; niemiecki uznano za zbyteczny. Odpowiedzialność za ścisłość przekładu ciąży na fabrykantach.

— *Niżegor. Listok* pisze, iż na zasadzie przedstawienia gubernatora niżegorodzkiego, wydano rozkaz Najwyższy o usunięciu kupca Wałowa od obowiązków prezesa zarządu powiatowego łukjanowskiego, skutkiem wykrycia nadużyć w sprawie gromadzenia i podziału zboża, przeznaczonego dla ludności dotkniętej nieurodzajem.

— Sprzedaż biletów na loteryę dla głodnych rozpocznie się dn. 17 grudnia we wszystkich instytucyach kredytowych, rządowych i prywatnych. Ciągnienie nastąpi niezwłocznie po rozsprzedaniu biletów, których ogółem wypuszczono na 1,200,000 rs.

— *Mosk. Wied.* donoszą, iż w tych dniach wprowadzono pierwszą zmianę nazw miejscowości w prowincyach nadbałtyckich: Włości: Kausską, Pahlferską i Neuenhoff w gub. estlandzkiej nazwano: „Aleksandrowskaja,“ „Nikołajewskaja“ i „Władimirskaja.“

— Donoszą o projekcie utworzenia przy biurze kontroli służących stałego funduszu nagród z opłat za książeczki i z ofiar pracodawców. Każda sługa, pozostająca w jednem miejscu przynajmniej dwa lata i posiadająca

zaświadczenia o wierności oraz trzeźwości, otrzyma 10 rs. nagrody.

— W ciągu ubiegłego roku we wszystkich guberniach państwa zanotowano ogółem 2,215 samobójstw i 665 dzieciobójstw.

— W Montbleux otwarto kopalnię, nabytą na własność przez robotników.

— Kilka hut żelaznych w Bochum ogranicza płacę z powodu braku zbytu.

— W Belgradzie zawiązał się komitet wsparcia dla wychodźców bośniacko-hercegowińskich.

Szkoły. Program szkół technicznych kolejowych będzie znacznie rozszerzony przez dodanie na ostatnim kursie przedmiotów: buchhalteryi i znajomości służby stacyjno-konduktorskiej. Uczniowie, którzy zdadzą egzaminy z tych przedmiotów, po ukończeniu szkoły będą mieli pierwszeństwo przed wszystkimi innymi kandydatami w otrzymywaniu posad: konduktorów, telegrafistów, pomocników zawiadowców, [illegible] ków ekspedytorów itd.

— W dobrach Łubna hr. Skarżyńskiej na Zadnieprzu otwarto pierwszą w gub. połtawskiej szkołę rolniczą z nauką rzemiosł, potrzebnych w gospodarstwie wiejskiem. Pod budowę zakładu i urządzenie pola doświadczalnego właścicielka oddała 50 morgów gruntu. Na urządzenie i utrzymanie szkoły ziemstwo połtawskie przeznaczyło jednorazowo rs. 35,000 i corok prócz tego udzielać będzie po 2,000 rs.

— Stałej komisyi do spraw wykształcenia technicznego złożono projekt utworzenia szkół specyalnych dla zdunów.

Wystawy. W salonie artystycznym na Nowym-Świecie otwarto wystawę drobnych prac malarskich.

— Oddziały Towarzystwa technicznego na prowincyi urządzą wystawy prób i wzorów przemysłowych.

— W Petersburgu otwarta będzie wystawa maszyn do sortowania i suszenia zboża.

— Na wystawie nasion w Petersburgu odznaczały się próbki p. Jelskiego z gub. mińskiej.

— W Petersburgu odbędzie się wystawa zabawek, wykonanych przez drobnych przemysłowców.

Zjazdy. Na zjeździe górniczym w Charkowie postanowiono prosić o pozostawienie na zawsze czasowego cła na węgiel zagraniczny, tudzież o pogłębienie portu Mariupolskiego.

Zmarli. Dr. Ignacy Fonberg. Urodził się w końcu zeszłego wieku. Po skończeniu wydziału filozoficznego w Wilnie, zajął tam katedrę chemii, którą wykładał na wydziale medycznym przez lat 17. Ogłosił w tym okresie wykład chemii stosowanej w trzech tomach; z kolei był profesorem Akademii medyczno-chirurgicznej, a w r. 1840 objął katedrę przy uniwersytecie kijowskim. Po za pracą profesorską robił studya nad analizą źródeł w Druskienikach i Szczawnicy, wydał po francusku analizę wód kijowskich, opracowywał specyalne podręczniki dla szkół. Pierwsza jego praca „Słownik wyrazów chemicznych," jest dziś rzadkością.

— Emilian Broniewski w Warszawie. Wydał kilka rozprawek historycznych i „Tablice graficzne do dziejów Europy."

Księgarnia E. Wende i Sp.

otrzymała na skład główny:

Elsenberg A., Dr.

Syfilis w stosunku do małżeństwa

Cena kop. 30.

KURYER ŚWIĄTECZNY

najdawniejsze i najtańsze pismo humorystyczne.

Wychodzi regularnie w każdą niedzielę i święto.

Cena prenumeraty kwartalnie: w Warszawie kop. 60, na prowincyi rs. 1.

Adres Redakcyi: Warszawa, Nowy-Świat 41 przy księgarni **Teodora Paprockiego i S-ki.**

Świeżo wyszło z druku dzieło:

Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII

studya historyczne

Władysława Smoleńskiego.

8-o, str. 424 i VI. Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką pocztową rs. 2 k. 75.

Skład główny w biurze i ekspedycyi **Spółki Nakładowej**, Warszawa, Marszałkowska 95, w Petersburgu w księgarni Br. Rymowicza.

Na Gwiazdkę

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca:

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

słowa

Maryi Konopnickiej,

muzyka

Zygmunta Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

ŚWIATEŁKO

książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście.

Cena rs. 1 kop. 80.

SZKICE I OBRAZKI

Bolesława Prusa

(Aleksandra Głowackiego),

tomów cztery, z portretem autora. Cena rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

W biurze i ekspedycyi **Spółki Nakładowej** (Warszawa, Marszałkowska, Nr. 95) i we wszystkich księgarniach.

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2**, *z przesyłką pocztową* **rs. 2 k. 20.** *Pragnący posiadać tę książkę zechcą nadesłać pieniądze lub polecić wyekspedywać ją za pobraniem pocztowem. — Egzemplarze oprawione o 20 kop. drożej.*

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 29 Ноября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.